T. 30

MARJA RODZIEWICZÓWNA

PISMA

WYDANIE ZBIOROWE JUBILEUSZOWE
Z PRZEDMOWĄ ZDZISŁAWA DĘBICKIEGO

TOM 30.

RUPIECIE

POZNAŃ
WYDAWNICTWO POLSKIE R. WEGNERA

MARJA RODZIEWICZÓWNA

RUPIECIE

POWIEŚĆ

WYDANIE TRZECIE

Stanisław Cylka
Inowrocław

1931

POZNAŃ
WYDAWNICTWO POLSKIE R. WEGNERA

Biblioteka Narodowa
Warszawa
30001007785502

OKŁADKĘ RYSOWAŁ T. LIPSKI

*

WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE

*

DRUK: CONCORDIA SP. AKC., POZNAŃ

*

PRINTED IN POLAND

T.30

BIBLIOTEKA NARODOWA BN

II 516.130

nr. inw. I.805.420

1970 k 1137/10 A

RUPIECIE

Doktór Jóźwicki dziś umarł, pogrzeb we środę, proszę o rozporządzenie. Włodarski.“

Taką depeszę znalazł pan Adam Jóźwicki, przemysłowiec i kapitalista, na swem biurze, przeglądając ranną pocztę.

Zrobiła nań wrażenie, pomimo, że z bratem od wielu lat nie utrzymywał stosunków. Nie widywali się, nawet nie pisywali do siebie.

Dzieliły ich całe światy: upodobań, pojęć, karjery, środowiska, funduszu, fachu, nawet przestrzeni.

Kołyski ich stały obok, ale gdy z kołyski wyszli, już się we wszystkiem rozeszli i nigdy się nie spotkali. Rodzice ich się rozwiedli i podzielili dziećmi. Starszy Adam został z ojcem w Warszawie; młodszego Kazimierza zabrała z sobą matka i wywiozła do swej rodziny, kędyś w głąb kraju. Adam obrał karjerę handlowo-przemysłową — jak ojciec.

Zrazu mu pomagał, potem fabrykę odziedziczył, ożenił się bogato w finansowej sferze, fabrykę rozszerzył i rozwinął; teraz, u progu starości stojąc, miał miljon, firmę solidną, stosowny kredyt i godność, okazałą i jeszcze piękną żonę i jedynaka syna, którym się słusznie chlubił, z którego był dumny, gdyż podobnie, jak ojciec, oddany był interesom — robieniu pieniędzy i był godnym dziedzicem firmy.

Lubił też wprawdzie kobiety, zbytek i wesołe życie, ale że był młody i miał co tracić, nie widział w tem ojciec nic złego, ani niebezpiecznego — owszem, rad był, że się bawi i używa — przed ożenieniem.

Adam Jóźwicki był szczęśliwy i dumny z siebie. Zdrowie mu tylko już nie dopisywało. Przepracowany był, zdenerwowany — oddawna już leczył się, odwiedzał zagraniczne „kurorty“ — zachowywał ostrą dietę. Ciężyło mu już życie; nużyły obowiązki, towarzyskie; świetne przyjęcia w salonach, gdzie królowała jego żona, odrabiał, jak pańszczyznę; w interesach już się chętnie synem wyręczał. Ożywiał się tylko w giełdowych i przemysłowych sprawach; pozatem nic go nie zajmowało, ani bawiło.

„Doktór Jóźwicki umarł“ — odczytał raz drugi depeszę, spojrzał na adres: Kodymno. Co to być mogło? Pocisnął guzik dzwonka i kazał biurowemu oficjaliście zasięgnąć informacyj w telegrafie, gdzie się znajdowała ta miejscowość. Potem pomyślał, że przecie musi dać odpowiedź. Możeby wypadało przecie posłać tam syna . . . Ale się skrzywił. Poco wtajemniczać w to młodego, który o stosunkach rodzinnych ojca nie wiedział nic — i pewnie tym stryjem z Kodymna nie będzie uhonorowany.

Przyniesiono kartkę z telegrafu. Kodymno było małem miasteczkiem w guberni Witebskiej — gdzieś na końcu świata — zakazany kąt!

Można było sobie wyobrazić, jaki tam mógł żyć i pracować lekarz!

Jóźwicki wydobył kartę geograficzną, i po długiem szukaniu, wynalazł wreszcie to Kodymno — leżało gdzieś na uboczu od drogi żelaznej.

Stanowczo Roberta tam posyłać nie można, ale nie można też pominąć milczeniem depeszy i nie spełnić jakkolwiek rodzinnego obowiązku.

Może tam być rodzina i interesy — może długi — znają adres — telegrafuje jakiś Włodarski — zmarły zostawił o sobie jakieś informacje — może wydał polecenia. A może żyje jeszcze matka?

Jóźwicki się zadumał... Matka! — nie znał jej, nie pamiętał, nigdy o niej nie myślał. Teraz jakby zdumiał, że tak być mogło! Ba! była to drażliwa niegdyś sprawa, aby ojca spytać... Potem i na myśl nie przyszło w wirze interesów i innych stosunków. Nawet przy śmierci ojciec jej nie wspomniał, nawet o spadek nikt się nie zgłosił, nawet zawiadomienia o śmierci nie wysłał, nie wiedząc, gdzie tych dwoje żyje i czy żyje...

Teraz wieść przyszła — zapewne był potrzebny. Została może wdowa i sieroty. Pojechać tam musi.

Teraz już Jóźwicki był zdecydowany. Wziął firmowy blankiet i napisał depeszę: „Jadę — czekać z pogrzebem."

I oto w kilka godzin potem już był w wagonie i jechał niespodzianie w obce strony — z grubo wypchanym portfelem — przygotowany na rolę opiekuna i dobrodzieja. W domu nie powiedział, dokąd jedzie i w

jakiej sprawie; zresztą nikt go o to nie pytał, i nikogo to tak bardzo nie zajmowało.

Podróż miał długą i nudną. Był sam w przedziale pierwszej klasy; dopiero pod koniec wsiadł jakiś współtowarzysz, od którego Jóźwicki się dowiedział, że Kodymno leżało o dziesięć wiorst od stacji kolei, było marną mieściną i żywot swój zawdzięczało hucie szklanej, położonej o wiorstę w ogromnych borach.

Co za wygnanie musiała być posada lekarza w takiej okolicy! Jakie losy wrogie, lub własna niezaradność i nieudolność zagnała tam jego brata!

Był wieczór, gdy pociąg dobiegł właściwej stacji. Na dworze późna jesień — wicher mroźny chybotał kilku latarniami; na platformie stał tłum Żydów i chłopów. Pierwsi — ruchliwi i gadający, drudzy — apatyczni i mrukliwi. Zjawił się zaraz woźnica w chałacie i ofiarował Jóźwickiemu swą bryczkę krytą, staromodną, jakąś landarę z przed lat stu, do której przyczepione były sznurkiem cztery różnej maści i miary, ale jednakowo chude chabety. Jóźwicki, widząc, że niema wyboru, siadł, i czwórka

ruszyła ostro z miejsca, brzęcząc, jak transport żelastwa. Pęd ten trwał krótko, przeszedł w kłus, potem w truchcik, wreszcie w stępa.

Woźnica siedział gdzieś daleko za skórzanym fordeklem landary, krzyczał, bił konie i udawał, że powozi. W istocie konie czyniły i szły, co i gdzie chciały, bo wokoło panowała nieprzebita ciemność.

Wicher wył, ledwie się posuwali. Po długiej chwili Jóźwicki rozsunął skórzane firanki i zawołał do Żyda:

— Słuchajcie-no! Czy wy znacie pana Włodarskiego?

— Ojoj! to jest inżynier z nasze fabrykie! Czy pan dobrodziej do jego jedzie? Jego teraz w domu niema.

— Wyjechał?

— Nie, ale u nas teraz wielkie nieszczęście buło. U nas wszystkie bez głowy chodzą. Och! Nasz pan doktór pomarł! Och! To pan Włodarski tam przy nim siedzi. Jutro jego chować mają... Ot! co za żałoba i u Żydki, i u katołyki, i u prosty naród!...

— Czy doktór miał rodzinę?

— A może jaśnie pan to ten krewny, co to na niego z pogrzebem czekają? Oj...

ja zgadł. Ach! jaki mnie honor co ja jaśnie pana widzę... Takie godne osobe. Ale jaśnie pan też honor ma, co takiego świętego w familji miał!... Och! takich ludzi, to więcej niema na świecie. Och! co ja panu powiem, pan sam najlepiej wie!... Och! jakie żałobe na nas wszystkie!...

Jóźwicki nie śmiał o nic więcej pytać: wstyd mu było nieświadomości, a przytem dotknięty się czuł w swej wielkości temi pochwałami. Nie wiedziano tu snadź wcale, że doktór był bratem miljonera; wogóle *o nim* nie wiedziano nic zgoła.

Jakże daleko zajechał i w jaką dzicz!

— Poganiaj-no, a to się nie dowleczemy do rana — rzekł.

— Tu są wielkie wyboje od te wozy, co szkło dostawiają. Ja nie mogę trząść takie godne osobe. Ale za lasem to my pojedziem jak maszyna żelazna!

Była to tylko czcza przechwałka. Po wybojach nastąpiły korzenie, potem bezdenny piasek, wreszcie błoto, ale razem z błotem rozszedł się zapach dymu, i gdy się Jóźwicki wychylił, ujrzał po obu stronach błotnistej ulicy niskie domki i parkany, i zrozumiał, że stanął u celu podróży. Rozsunął firanki

i starał się coś zobaczyć, ale majaczyły tylko kontury. Wjechali na wielki plac, ujrzał grupę nagich drzew i wieżę — był to kościół zapewne; potem skręcili wbok znowu ulica niebrukowana, obrzeżona domami i parkanami. Nagle wehikuł stanął przed jakąś furtką, i woźnica rzekł:

— To jest dom pana doktora.

Jóźwicki wysiadł, zapłacił, wziął swoją ręczną walizkę i wszedł za ogrodzenie. Zobaczył opodal światła w dwóch niskich oknach, zarysy małego domku, i ruszył w tym kierunku, odczuwając dziwne uczucie obawy, kogo tam spotka.

Uspokajało go to, że zapewne jest oczekiwany.

Drzwi od ganeczka — na dwóch słupach — nie było zaryglowane, zapewne usłyszano turkot, bo gdy wszedł do środka, z przeciwległych drzwi wyszedł młody mężczyzna z lampą, i zbliżywszy się, rzekł, spojrzawszy na gościa:

— Zapewne pan Adam Jóźwicki. Jestem Włodarski. Oczekiwałem pana. Pani Jóźwicka jest na przybycie pana przygotowana.

Jóźwicki nic nie odparł, rozebrał się z paltota, przelotnie spojrzał po ścianach

i kątach nagich i ciasnych, po podłodze usłanej świerkowemi igłami i poszedł za Włodarskim ku drzwiom pokoju. Włodarski usunął mu się z drogi przed progiem, i Jóźwicki znalazł się sam w pokoju, oświetlonym jedną lampą, przy której siedziała stara, siwowłosa, szczupła kobieta i szyła coś czarnego. On stanął w progu, ona podniosła oczy, opuściła ręce z robotą na kolana, i rzekła:

— Adam jesteś. Witam cię!...

Patrzyli na siebie — chwilę — może wieczność. Jej oczy wyblakłe, zmarszczkami otoczone, poczęły nabiegać łzami, i usta zwiędłe drżeć; on odczuł takie bicie serca, że dech tracił i łapał z trudem powietrze. Wreszcie rzucił się ku niej i upadł u jej kolan.

— Matko!...

Ręce przezroczyste, suche, białe spoczęły na jego głowie, i poczuł na włosach pocałunek.

Wyrwało mu się z piersi łkanie...

Na głowę jego, wtuloną w fałdy żałobnej szaty, padały ciche, gorące łzy matki.

Ona pierwsza przemówiła:

— Dziękuję ci, żeś przyjechał. To on

przed śmiercią polecił Włodarskiemu ciebie wezwać. Troskał się o mnie.

On wreszcie oprzytomniał, podniósł się i rzekł przerywanym głosem:

— Ja nic nie wiedziałem, nic nie przeczuwałem. Tak byłem bez was całe życie.

— Całe życie! . . . — powtórzyła cicho, przyglądając mu się — i już go nie poznasz!

Ścisnęła czoło dłońmi, jakby zgnieść, opanować chciała myśli i uczucia, i dodała z żałością i słodką dobrocią:

— Ja cię zawsze w myśli miałam, i pamięci, i w modlitwach. Cieszyłam się, słysząc, że ci się powodzi i szczęści. Tak młodo i dobrze wyglądasz.

— Matko, czy ja go już nie zobaczę? — rzekł zcicha.

— Wynieśli go już wieczorem do kościoła — odparła szeptem.

— Dlaczego umarł? Młodszy był ode mnie. Może . . . może . . . — tu głos mu zadrżał — możeście nie mieli środków do ratunku, a jam nic nie wiedział.

— Nie, nie. Nic nie brakło z ludzkich środków, ale nie było ratunku. Przeziębił się . . . zapalenie płuc . . . we cztery dni . . . było trzech kolegów . . . wola Boża.

Zaplotła ręce na kolanach i utkwiła oczy w przeciwległą ścianę. Jóźwicki spojrzał też i zobaczył małą fotografję, marną robotę małomiasteczkowego zakładu, w ubogich drewnianych ramkach. Bez pytania wiedział, że to „on“ był, i chciwie się weń wpatrzył.

Blada, sztywna podobizna: twarz o myślących i wesołych zarazem oczach, i uśmiechniętych ustach: jakaś jasność i siła, i dobroć w całej głowie, nie odznaczającej się zresztą pięknemi rysami, ani kształtami.

— Dawna fotografja? — spytał.

— Z przed trzech lat.

— Wygląda na trzydziestoletniego.

— Taki był zawsze... do ostatniej chwili.

Jóźwicki, który był zdjął ze ściany fotografję, zawiesił ją napowrót, i dopiero teraz rozejrzał się po pokoju, i spostrzegł, jak był mały, niski i ubogi.

— Matko, — wybuchnął — i wy tu w takiej biedzie i niedostatku jesteście, a jam nic nie wiedział!

Staruszka spojrzała wokrąg ścian. Oklejone były taniem obiciem, przeciętem gdzie niegdzie drzeworytem lub kolorową litografją. Sprzęty były twarde, stare, ledwie

BIBLIOTEKA NARODOWA BN

kilka sztuk, każde inne. Komódka, stolik, fotel, kilka krzeseł, w głębi jej łóżko. Z prostych desek podłoga, upstrzona gdzie niegdzie kawałkiem kilimka, w oknach niskich wazoniki z kwiatami.

Patrzyła długo, wreszcie rzekła:

— Może tu nieładnie, nieświetnie, ale nie miałam tu ani jednego dnia bez radości i szczęścia, aż do tego ostatniego tygodnia. Piętnaście lat tu spędziliśmy, zrazu jako lokatorowie, od trzech lat dopiero jako właściciele. Zbierały się powoli sprzęty, po sztuce, każdy z taką uciechą! A szczęście zawsze było takie wielkie!

— A przedtem gdzieście żyli?

— Przedtem... dziesięć lat w Tiumeniu!

— Ach tak! A przedtem?...

— Mieszkałam w Wilnie. On się uczył. Gdy skończył, jużeśmy się nie rozstali... aż teraz... na krótko!...

— I dlaczegoż osiedliście tu, w takim kącie? Jakież to życie, jaka karjera, co za praktyka i praca? Piętnaście lat, żeby zdobyć tę ruderę i te rupiecie!

— Nie urągaj. Nam było dobrze z tem, ze wszystkiem, co nas otaczało, i z każdą

pracą. Czegośmy chcieli i pragnęli, to on spełnił: co zamyślił, dokonał. Pewnie, że to rupiecie . . . pewnie . . . ale on to kochał.

Przesunęła ręką po oczach i umilkła.

Adam coraz więcej wracał do przytomności i zwykłej rozwagi. Odczuwał oburzenie, że matka była w takiem położeniu. Ten domek zagrodnika, to ubóstwo urządzenia, ta jej wytarta czarna suknia, ta lampa rublowa, te jej spracowane ręce, szyjące żałobę, te kraty koślawe, te okienka z drobnych szybek — wszystko napełniało go wstrętem, upokorzeniem, zgrozą. W głębi duszy miał już obraz tego brata ideologa i niedołęgi, który nie potrafił nawet stworzyć dobrobytu i wygody dla tej jednej starej kobiety którą niby to zapewne kochał i przez którą był widocznie ślepo kochany.

Cała jego praktyczność, rzutkość i bystrość przemysłowca burzyła się na taką apatję i gnuśność. Ale nie śmiał odezwać się z krytyką zmarłego, więc tylko myślał, jak matkę stąd zabierze, jaki jej da przepych i wygodę, jaką opieką i sercem otoczy. A tymczasem poczuł się w obowiązku zająć się odrazu interesami i spytał:

— Przybyłem tak późno, że już nie mogę służyć inaczej, tylko finansowo. Wszystkie koszty moje, pozwoli mama. Zapewne pan Włodarski mamę wyręczał. Proszę, mamo, wziąć wszystko, proszę!

Położył przy niej portfel, na który popatrzała smutno.

— Nie trzeba pieniędzy, Adamie, nic nie trzeba.

— Mama mi nie odmówi przecie! — rzekł gorzko.

— Nie, ja ciebie nie chcę urazić w dobrej chęci, ale naprawdę nie trzeba. Spytasz Włodarskiego . . . Aleś ty zdrożony, zmęczony, głodny. Jak ja pamięć i myśli potraciłam!

Wstała i przeszła do sąsiedniego pokoju; słychać było, że rozmawiała ze służącą, i po chwili zawołała go.

Zobaczył pokój równie ubogi i skąpo umeblowany. Była to jadalnia, i posiłek już był podany przez starą służącą, która ciekawie obejrzała gościa.

— Poproś pana Włodarskiego! — rzekła jej pani Jóźwicka.

Sługa wyszła, a staruszka dodała:

— Zasnął zapewne. Tyle nocy czuwał nad nim, a potem ze mną . . .

— Czy to może krewny nasz?

— Nie, to wychowaniec Kazia.

Podała mu półmisek z potrawą, zajęła się herbatą.

Zastawa była skromna, gruby fajans i szkło zapewne miejscowej fabrykacji, stół ceratą przykryty, długi. Pod ścianami na półkach książki, a wyżej, szeregi poglądowych i geograficznych atlasów.

Wyglądało to, jak szkoła, i zrobił głośno tę uwagę.

Staruszka spojrzała wokoło i rzekła:

— Dużo tu przeszło chłopaków . . . i wyszło ludzi! Gwarno bywało... teraz cicho!...

Chciał Jóźwicki dalej pytać, ale wszedł Włodarski. Przywitali się jeszcze raz, i młody mężczyzna zajął miejsce u stołu.

— Byłem przed chwilą na plebanji, — rzekł do staruszki — i ułożyliśmy z księdzem porządek pochodu.

— Proszę pana, — rzekł żywo Jóźwicki — matka mi pozwoliła ponieść koszt pogrzebu, więc jestem do rozporządzenia, i chciałbym, żeby to było zrobione jak najokazalej, o ile to przy miejscowych środkach jest możliwe.

— Proszę pana, — odparł młodzieniec — to ani moja, ani pana, ani nawet pani wola

i rzecz. Pogrzeb pana doktora nie my urządzamy i robimy. Jego grzebie Kodymno; my z księdzem i policją radziliśmy nad porządkiem pochodu.

— Jakto... niby? — spytał, nie rozumiejąc, Jóźwicki.

— „Ojca chowają dzieci!“ — tak mi rzekli senjorowie robotników, miasteczka i wsi okolicznych po śmierci pana Kazimierza. Pani przyznała im prawo.

Jóźwicki poczuł się wzruszonym.

— Wynagrodzę im to po królewsku! — rzekł.

Włodarski brwi zmarszczył, ale nic nie rzekł.

— Nie masz wieści od Ławrynowicza? — spytała staruszka.

— Nie... jedzie napewno. Rano będzie.

— Czeka mama jeszcze kogoś?

— Wychowaniec Kazia, doktór. Już drugi rok praktykuje w Łodzi.

— Słyszałem o nim. Bardzo zdolny i wzięty.

— Ojciec jego jest dotychczas mechanikiem u nas w fabryce — rzekł Włodarski. — Mamy kilkunastu ludzi z Królestwa, reszta już wszyscy tutejsi.

— Pan mówi: „już“. Więc przedtem byli wszyscy z Królestwa.

— Nie... przedtem byli sami Czesi i Niemcy.

— Dużo państwo zatrudniają ludzi?

— Trzysta rodzin!

— A pan już dawno pracuje?

— Już piąty rok.

— Pan studjował w kraju?

— Skończyłem politechnikę w Dreźnie, wprawiałem się jeszcze w Czechach, byłem rok w Anglji.

— I to pierwsza pana posada?

— Pierwsza i ostatnia. Jestem ze szkoły doktora. Tu wzrosłem, tu zostanę!

Obejrzał się po ścianach z jakimś serdecznym smutkiem, potem spojrzał na staruszkę i rzekł:

— A pani nic nie je! A pani obiecała!...

— Piłam herbatę, doprawdy, piłam! Wyście też obadwaj pomęczeni, i tak już późno. Zaprowadzę cię na spoczynek, Adamie... Taką miałeś daleką i nużącą drogę!...

Zapaliła świecę i poprowadziła go przez sień do narożnej izby, która widocznie była gabinetem doktorskim. Posłanie znalazł

gotowe na otomanie. Matka pocałowała go w czoło i wyszła.

Patrzał za nią. Jaki zachowała pomimo lat chód żywy i jaką prostą postać!

Pozostał sam i obejrzał pokój. I tu nie było śladu jakiegokolwiek komfortu i dobrobytu: wszędzie ta sama prawie bieda. Jedna szafka z narzędziami, druga z podręczną apteczką, umywalnia, szafa z książkami, fotel, kilka krzeseł i biurko, zarzucone papierami i gazetami.

Na biurku fotografja matki i kilka cenniejszych drobiazgów, zapewne podarków. Między innemi zauważył nóż do papieru, ślicznie rzeźbiony, z napisem: „Tiumeń, Przesylna, Doktorowi naszemu“, i żelazny kałamarz, arcydzieło kunsztu, z napisem: „Ślusarze po tyfusie 1890 swemu świętemu.“

Poczuł się wreszcie wyczerpanym i zmożonym wrażeniem, położył się i zgasił światło. Długo jednak zasnąć nie mógł — ów brat, znany tylko z nędznej fotografji, stał mu w oczach, a on mu powtarzał wciąż jedno: „Jak mogłeś *moją* matkę utrzymywać tak nędznie? . . . Dlaczegoś się do mnie nie odwołał?“

Rano zbudził go hałas przed domem, zakrawający na ostrą kłótnię i bójkę. Gdy się zerwał i śpiesznie ubierał, posłyszał opanowujący wrzawę głos Włodarskiego. Wyjrzał przez okno i zobaczył gromadę furmanów Żydów z batami w ręku, dowodzących czegoś hałaśliwie. Włodarski parlamentował, Żydzi skakali sobie do oczu, tkali gwałtem Włodarskiemu do rąk jakieś blaszki.

Wreszcie on wszystkie te znaki wziął, zmieszał i poszedł z niemi do domu. Wrócił po chwili i rzekł głośno:

— Pani wyjęła siódmy numer. Uspokójcie się!

Żydzi, charkocząc, poszli do furtki; kłótnia uciszyła się, jak czarem.

— Co to było? — spytał Jóźwicki, spotykając Włodarskiego w sieni.

— Wszyscy chcieli wieźć panią Jóźwicką na cmentarz. Trzeba było losować. Teraz się niepokoję, czem przyjedzie Ławrynowicz, bo na kolej nikt z nich nie pojechał.

— Czy cmentarz nie w mieście?

— O, bardzo daleko, aż za fabryką.

— Karawan zamówiony?

— Jest, i dyrektor fabryki przeznaczył do niego swe konie, ale będzie chyba tylko dla formy.

Weszli do jadalni. Staruszka robiła herbatę, ubrana w czerń, którą wczoraj sobie poszyła, spokojna; chciała się nawet do syna uśmiechnąć, ale nie zdołała, kurczowo zadrgała twarz tylko.

— Już dziewiąta, a Ławrynowicza niema! Spóźni się! — rzekła.

— Ot i jest! — zerwał się Włodarski, wyjrzawszy oknem.

Od furty szedł barczysty, elegancko ubrany mężczyzna, za nim dwóch ludzi niosło spore kufry.

Po chwili nowo przybyły wszedł do jadalni i przypadł do kolan staruszki. Nie płakał, przez chwilę nie mówił nic, tylko jej ręce całował.

A potem ozwał się drżącym głosem:

— Depesza o chorobie nie zastała mnie w domu, a po tej drugiej zabawiłem dwa dni, żeby sprawy uporządkować i już nie potrzebować wracać.

— Już nie odjedziesz?

— Jakeśmy postanowili. Bodajem tylko potrafił tem się stać, czem on był!

Głęboko odetchnął i wstał. Wtedy dopiero spostrzegł obcego i zesztywniał.

— Mój syn Adam — rzekła staruszka.

— Ławrynowicz.

Uścisnęli w milczeniu dłonie.

— Pojedziemy już! — ozwał się Włodarski.

Staruszka odziała się w niemodne palto i zrudziały stary kapelusz, i wyszli przed dom.

Dzień się wypogodził, jeden z tych rzadkich słonecznych dni późnej jesieni. Jóźwicki zobaczył teraz całą posesję. Domek był drewniany, typowy dworek z małego miasteczka. Jednym bokiem już się pochylił, gontowy dach zielony był od mchu, ze ścian tynk w wielu miejscach poopadał — rudera!

Przed nim był spory dziedziniec, plac widocznie dziecinnych zabaw sportowych i gimnastyki, na boku rabatki ze szkieletami i zwłokami letnich kwiatów, w głębi sad owocowy. Całość stanowiła może dwa morgi — ot, marna zagroda mieszczańska.

U furty na ulicy stały dwie landary i woźnica pierwszy począł wołać:

— Ja, numer siódmy! Ja wiozę panią!

Jóźwicka spojrzała serdecznie na pejsatego furmana i wsiadła z Adamem.

W kościele biły już dzwony.

Gdy wynurzyli się z uliczki, zobaczyli plac przed kościołem, zatłoczony ludźmi, którzy utworzyli dla nich jakby szpaler, i na widok staruszki, co do jednego odkryli wszyscy głowy. Zresztą była cisza, tylko te dzwony gadały.

U bramy kościelnej było sporo ekwipaży i bryczek, a gdy stanęli, kilku starych, z waszecia ubranych mężczyzn otworzyło drzwiczki i na ręku wyniosła prawie Jóźwicką z landary. Adam jej podał ramię i szli wśród pochylających się, odkrytych głów i uroczystej ciszy. Jóźwicki czuł dziwne ściskanie i bicie serca.

Kościół cały był jedną masą świeżej świerczyny. Wysoko, pośrodku, w mnóstwie świateł szarzała dębowa trumna, jak w gaju.

Nie było na niej wieńców, ni wstęg.

Pierwsza ławka czekała na Jóźwicką, w następnych było nieco sąsiedniego obywatelstwa, nieco kapeluszy damskich, trochę miejskiej inteligencji, ale tłum zbity, gęsty, stanowiły kapoty, siermięgi, kurty robotnicze, i jak Jóźwicki z podziwem zauważył, cha-

łaty żydowskie. Stali, jak jedna zgodna armja, robotnicy, chłopy Rusini, mieszczanie i Żydzi. Stali poważni i skupieni, i patrzyli wszyscy na trumnę.

Zaczęły się egzekwje, potem msza, wreszcie ruch się uczynił w tłumie, jakieś porządkowanie, wokoło katafalku skupili się mężczyźni, zbliżyli się panowie z ławek, Włodarski i Ławrynowicz.

Jóźwicka modliła się cały czas bez łkań i jęków. Z oczu jej, utkwionych w trumnę, sączyły się ciche łzy, usta poruszały się czasem.

Gdy ludzie poczęli spuszczać trumnę, gdy ją wzięli na ramiona, zajęczała raz tylko i wstała, by iść za nią aż do ostatecznego kresu.

Uderzono we wszystkie dzwony, roztworzono naścieżaj podwoje kościoła: krzyż, chorągwie, ksiądz, trumna wysoko nad tłumem, wszystko wysunęło się na rynek, i wyszło też słońce z za chmur jesiennych. Tłum runął nazewnątrz, ale Jóźwicką i Adama, który ją prowadził, otoczył kordon robotników, by ochronić od nacisku ludzi.

Ksiądz chwilę się zatrzymał, bo karawan czekał przed furtą, ale szmer się uczynił, rósł, ogarnął cały tłum.

— Nie damy wieźć... zaniesiemy! On z nami był do końca, my z nim! Nie damy wieźć.

Karawan się usunął. Tłum zwartą masą otoczył trumnę, zajaśniały w słońcu krzyże i chorągwie, zamigotały tysiące świateł, wszystkie dzwony, jakie były w mieście, biły, wszystkie bractwa uszykowały się w pochód, ksiądz zaintonował śpiew, który podjęły młode głosy chłopaków, poprzedzających trumnę, zgodnym chórem.

Pochód się wysunął, minął rynek, skręcił w uliczkę, i nie miał, zda się, końca.

Ławrynowicz napół przemocą uprowadził staruszkę do powozu i z nią pozostał. Za trumną szedł Adam z Włodarskim; ludzi niosących zmieniali gwałtem coraz to nowi, i widział Adam, że cisnęli się jednako i panowie, i chłopi, i robotnicy... Wszyscy do tej trumny, jakby do zaszczytu.

— Co ludu się zebrało! — szepnął Adam.

— Bo nikt nie został w domu, a i fabryka dziś stoi. Wszyscy są! — odparł Włodarski.

— Bardzo poczciwi ludzie!

— Poczciwi! Ludzie będą zawsze poczciwi dla tych, którzy ich kochają. Bywają wyjątki, ale to wyrodki. Ten tłum nie

dowodzi mocy swego uczucia, lecz wielkości duszy tego, którego w grób niesiemy. Miał wszystkich w sercu i myśli, i wszyscy są z nim, do ostatka! O, teraz go nasza fabryka żegna.

Pochód wił się już po drodze podmiejskiej, opodal zaczerwieniały mury fabryki i białe domki osady robotniczej, i oto te mury się ozwały: nad dachami wykwitły smugi pary, rozległy się gwizdy wszystkich sygnałów, zadźwięczały wszystkie robocze dzwony i dzwonki. Z osady wysypały się dzieci i kobiety, usypały drogę świerczyną i przyłączyły się także do pochodu.

Jóźwicki szedł, szedł, po wybojach, po błocie, nie czując zmęczenia ni niewygody. Taki miał w głowie natłok wrażeń, taki szum, takie dziwne dławienie w gardle.

A już ukazał się cmentarz w borze, mnóstwo krzyżów i kapliczka, domek grabarza. Dzwon stamtąd począł witać i wołać tego, który ku spoczynkowi dążył.

Zbliżała się ostatnia chwila rozstania.

Gdy się staruszka znalazła nad otwartą katakumbą, obok trumny, przypadła do tego drzewa, objęła je ramiony, zajęczała. I nagle jak huragan przeszedł po tłumie,

zajęczały, załkały wszystkie piersi, zgłuszyły modlitwy i śpiewy.

Adam Jóźwicki cały się wstrząsnął. Widział tłumy na pogrzebach, eskortę uznania lub sympatji, formę oddania czci zmarłemu, ale takiego jęku tysięcy nie znał, nie przypuszczał, że jest możliwy.

Ławrynowicz szepnął coś staruszce i pomógł jej powstać. Potem skinął na ludzi, pokazując ją oczyma, i uciszyli się, ciche tylko chlipanie rozlegało się, kędy były kobiety. Spuszczono trumnę w grób, i wtedy ksiądz przemówił. Młody był, o energicznej twarzy, a dobrych oczach. Mówił głosem, który się łamał i wiązł chwilami w gardle.

— „Bracia, otośmy w grób złożyli tego, który nas miłował. Cobym wam rzekł o nim, to tylko słowa będą blade. Niema wśród nas żadnego, który go ojcem nie zwał, i ze mną po nim nie płakał, i nie błogosławił go. I oto opuścił nas, który nas miłował, ale myli się, kto sądzi, że go już niema wśród nas. Był on tu i pozostanie, bo nie ujrzy każdy z nas domu jego, matki jego, uczniów jego, czynów jego, nie wspomni żaden z nas dobra i cnoty, żeby jego pamięci

i życia nie czcić, jego myśli i duszy nie miłować. Jako sieroty i rozbitki się czujemy, ale zarazem za synów jego się uważając, bierzemy po nim dziedzictwo święte, chlubne i nieoszacowane, i obowiązek miłowania tego, co on miłował, pracy i cnoty, jakiej on nas uczył, służenia temu, czemu on służył. I będzie on zawsze wśród nas, jeśli będziemy jego godni. Niech mu ta ziemia będzie lekka, bo ją miłował!"

Głos księdza ustał, schylił się, rzucił na trumnę garść ziemi.

Jóźwicki wziął też trochę piasku w rękę, ale zamiast rzucić w grób, trzymał w dłoni i zapatrzył się w robotnika, który stanął obok księdza, i bardzo blady, z drgającemi rysami twarzy, cisnąc do piersi swą czapkę, mówić począł.

Zdało się Jóźwickiemu, że go zna, że go często widział, że głos jego słyszał, tak podobny był do tej rzeszy fabrycznej, z którą spotykał się prawie codzień u siebie. Ach, jak on ich znał! — zdawało mu się. Ich postać barczysta, ich ręce twarde i zdefigurowane narzędziem, często okaleczone wypadkiem, i cerę ciemną, i jakby zadymioną, ich rysy zgrubiałe i tępe, ich oczy martwe

lub złowieszcze, ich milczenie posępne, lub ryk rozpętanej bestji. Widział i znał ich w różnych fazach: pokory, pochlebstwa, strachu przed władzą, wykrętów fałszywych, czasem pijanego zuchwalstwa, i z doświadczenia nie lubił i był na ostrożności, gdy mówili.

Gdy tłum ten się zbierał bezczynny i wybierał z pośród siebie mówcę, Jóźwicki zwykle pierwszym instynktowym ruchem skupiał się do jakiejś walki, i szukał w kieszeni rewolweru. I teraz w pierwszej chwili doznał tego uczucia, ale tylko w pierwszej chwili.

— „Bracia i towarzysze, i wszyscy ludzie tutejsi, od najbogatszych do najuboższych, którzyśmy się tu zeszli, jakby jedna familja! Czy pomnicie wy, jako tu u nas się działo przed laty piętnastu, kiedy ot my tu się zabłąkali aż z końca świata, szukając chleba, stagnacją fabryczną zniszczeni!

„W fabryce byli Niemcy, na wsi Rusiny, w mieście Żydzi, a każdy jeden drugiego nienawidził, jeden drugim pogardzał, jeden na drugiego wilkiem patrzał. Nas pięciu przybyło jeszcze innych i już całkiem obcych. Do fabryki nas nie przyjęto, we dwo-

rach nas się lękano, na wsi traktowano jak włóczęgów: musieliśmy żebrać, żeby mieć o czem dalej się wlec.

„Po jałmużnę przypadkiem zaszliśmy do niego . . . i ot, jaka była jego jałmużna.

„Na jego słowo po kilku dniach przyjął nas dyrektor na najmarniejszą robotę, i zostaliśmy. Nie starczyło zarobku na chleb, on nas żywił; nie starczyło na odzież, on nas odział; nie było dachu, jego dach nas ogarnął. Tylko jednego wymagał: „Nie czyńcie mnie wstydu . . . nie czyńcie sobie wstydu.“ To tak się zaczęło. Było nas, jego domowników, pięciu, a jest nas teraz w fabryce trzysta rodzin, i wszystkich ludzi, którzy z nami żyją i mieszkają w tej okolicy, bierzemy za świadki, żeśmy wstydu nie zrobili ni jemu, ni sobie! I wszystkim ludziom tutejszym dziękujemy, że nas przyjęto za swoich, jako on zalecał. I dziękujemy starszym naszym i zwierzchności, że uczynili nam pracę dobrą i korzystną, życie zdrowe i wygodne . . . na jego prośby i starania. Staraliśmy się tak być, jak on chciał, i błogosławimy go za to, i pamięć jego świętą zachowamy wśród siebie, pewni, że będą jemu podobni ci, których on wy-

brał i nauczył, żeby po nim wzięli kierunek naszych uczynków i potrzeb. Aby znak był po wsze czasy myśli jego, czynimy z groszy naszych szpital jego imienia, bo wiemy, jak on tego zawsze pragnął!“

— Uczynimy! — przeszło uroczyście falą głosów po tłumie.

Posypały się na trumnę grudki ziemi, rozległo się ostatnie: „Anioł Pański“.

Jóźwicki się rozejrzał. Ławrynowicz i Włodarski prowadzili staruszkę do powozu; tłum ich przeprowadzał.

Duża gromada kupiła się na uboczu wokoło mówcy, i słychać było dysputę.

— Dlaczego my nie możemy dać! — wołał jakiś w kapocie zagrodnik.

— A namże win ne bat'ko buw? — oburzał się jakiś chłop, przez głowy ludzkie podając rubla.

— Jak wszyscy, to wszyscy! — coraz więcej wołano. — Bierzcie, Ławrynowicz!

— No, to wołajcie pana Włodarskiego, nie dam sam rady.

Skoczył ktoś i wrócił z Włodarskim.

Tłum kładł srebro i papierki, dawali zobowiązania do jutra. Jóźwicki, jak zahipnotyzowany patrzał. Wszyscy byli — datki

wszystkich. I grubsze asygnaty obywateli, i dyrektorów, i inteligencji, do wytartych czterdziestówek kobiet w chustkach, do zmiętych papierków kramarzy, Żydów i chłopów.

Zrazu Włodarski chciał zapisywać ofiarodawców, ale za wielu się cisnęło, za wielu powtarzało:

— Naco pisać? Wszyscy dajem . . . ile kto może. Będzie mało, to potem znowu dołożym.

Tu Jóźwickiego coś pchnęło, wydostał się z tłumu do Włodarskiego i rzekł:

— Ile zabraknie, to ja dołożę. Jestem jego bratem.

Tłum się rozsunął, poczęli mu się przyglądać, coś szeptać, wreszcie jakaś kobieta rzekła:

— Szczęśliwy pan, że Bóg jeszcze taką matkę uchował po jego stracie!

— Dziękujemy panu za ofiarę! — rzekł Włodarski.

Jóźwicki skierował się ku wyjściu razem z tłumem.

Dzień jesienny miał się już ku końcowi, niebo znowu zasnuło się chmurami.

Jóźwicki zaniepokoił się o matkę, wsiadł do jakiejś landary i kazał jechać prędko.

W szarym mroku domek doktora wydał mu się jeszcze nędzniejszym, jeszcze bardziej ruderą. Matkę zastał w jadalni z księdzem.

Zapoznała ich z sobą, i po chwili obojętnej rozmowy, Jóźwicki bardzo gładko zagaił sprawę zapłaty za pogrzeb. Ksiądz spojrzał na niego, jakby z wyrzutem, i odparł:

— Pan Kazimierz sam to już załatwił.

I zapanował dziwny chłód. Ksiądz się zaczął żegnać i rzekł, wychodząc do staruszki:

— Więc od jutra wieczorem będę już codzień przychodził na lekcję. Dzieci są uprzedzone. Czy doktór Ławrynowicz wyszedł?

— Poszedł już do chorych. Tyle czasu byli bez opieki!

Gdy zostali we dwoje tylko, Jóźwicki począł nerwowo chodzić po jadalni. Miał natłok myśli, a nie umiał wyrazić.

Wreszcie usiadł obok matki, i wziął jej rękę w swoje, i począł ją całować.

— Mamo, wiecie, że jestem bogaty, bardzo bogaty. Mam żonę i jednego syna! Żebym się teraz z interesów wycofał, złożę

miljon; jeśli dalej pracować będę, fundusz będzie co rok wzrastał. Nie przeżywam dochodów, a przecie na nic nie skąpię. Co teraz będzie? Ach, jak pragnę, by mama ze mną była, bo, mamo, ja pomimo wszystko bardzo sam jestem! . . . Poczułem to teraz, dotychczas nie myślałem! . . . Sam, i spracowany, i już zdarty życiem. Jakbym ja się poczuł szczęśliwy, gdybym mamę miał przy sobie! Jam przecie nie winien, że tak dotychczas było! Gdybym wiedział, gdybym przypuszczał . . .

Urwał, czując, że winien; nie śmiał dalej mówić.

— Teraz mama do mnie należy . . . teraz musimy być razem, teraz . . .

Popatrzał na nią, trochę niepewny, czy nie urazi tem co powie.

— Teraz, mamo, my to miasteczko i tych ludzi osypiemy złotem za ich uznanie dla Kazimierza. Co im trzeba: szpitala, szkoły, ochrony, zapomogi, wszystko im mama da, wszystkie potrzeby zaopatrzy. Ja mam na to wszystko dość funduszu, ale przecie matki im nie mogę zostawić . . . nieprawda? Nie może mama żyć nadal w tej ruderze, wśród tych rupieci, cierpieć niedostatku . . .

— Nie mów tak! o nie mów! — przerwała mu. — O, Adamie, czyż ty naprawdę mogłeś myśleć, że ja to opuszczę!? Dla ciebie to rudera i rupiecie, dla mnie to ukochane gniazdo, i skarby, i ideały nasze. Ja się tu czułam zawsze szczęśliwa i bogata, a teraz . . . mój Boże, teraz . . . ja tylko dlatego przeżyłam go, dlatego mi z bólu i rozpaczy serce razem z nim nie pękło, że jego matką się czułam! Tu jego duch, jego myśl, jego praca . . . Dlatego żyję. Nie mów tak, nie mów! Mnie tak ciężko słuchać, żeś ty taki obcy! Mnie ciebie bardzo żal!

— Prawda, żem inny, prawda! Ja nie rozumiem, mnie to oburza widzieć mamę w takiem otoczeniu. Ja nie zniosę, żeby mama tak została, jeśli stąd wyjechać do mnie nie chce. Dobrze, ale ja tu mamie stworzę odpowiednie gniazdo, dam odpowiednie wygody i ja tu do mamy przyjeżdżać będę. Dobrze, mamo?

Ukląkł przed nią i błagał, do głębi wzruszony.

Staruszka potrząsnęła głową:

— Nie, Adamie, nie. Ja tu zostanę, jak byłam i czem byłam. Rudera jeszcze mnie przestoi, rupiecie te kocham! I pieniędzy

twoich tu nie wezmę... Nie, to wszystko tutaj, jak jest i co jest, to Kazia dziedzictwo: Nic nie zmienię. Tobie się to wydaje nędzą i niedostatkiem, bo ty znasz przepych i zbytek. Gdybyś znał mieszkania i sprzęty robotników, którzy na twój przepych pracują, gdybyś pokochał i przecierpiał nędzę i niedostatek prawdziwy — ich, tobyś nie grzeszył, nazywając nasz byt nędzą. Jam syta, jam odziana, mnie ciepło, mój byt bezpieczny, mogę próżnować, gdym chora, mam czas na czytanie, nie grozi mi głód z racji stagnacji, oszczędności fabryki, starości, niechęci starszego... jam można! Słuchaj, chcesz wydawać tysiące tutaj dla mnie, wydaj je dla mnie tam, u siebie. Wydaj je, myśląc o mnie, a będziemy wtedy wszystko troje razem. A do mnie tu przyjeżdżaj, pókim żywa, przyjeżdżaj często, a gdy umrę, połóż mnie przy Kaziu, i uszanuj te rupiecie nasze, i podaruj je temu, kto o nie cię poprosi. Bo widzisz, te rupiecie to... to... moje klejnoty!...

Łzy przerwały jej mowę, łkanie ciche wstrząsało nią.

Wtem rozwarły się drzwi: wszedł Ławrynowicz i Włodarski, a za nimi dwóch maj-

strów fabrycznych. Położyli na stole dwie czerwone chustki pełne pieniędzy, a potem przystąpili do staruszki, pocałowali jej rękę, i jeden przemówił:

— Przynieśliśmy zebrane pieniądze. Niech pani je schowa i z panami tymi sprawą pokieruje. My, co w naszej mocy, zrobimy. Mendel Sysel obiecał dać drzewo na szpital, pan Rudnicki daje sto tysięcy cegły, chłopi ją darmo zwiozą, a mieszczanin Taras Bur daje plac swój za młynem. „Stanowy" obiecał papiery, jakie trzeba wyrobić, majstrzy za pół darmo zrobią. Byle nam pani zdrowa była, daj Boże!

Staruszka opanowała się siłą woli, a drugi majster dodał:

— Boć pani z nami zostanie?

— Zostanę, dziatki, zostanę! Gdzieżbym była do końca!

— To i dzieci można wieczorem przysyłać?

— Od jutra, a jakże! Ksiądz tymczasem syna zastąpi.

— Potem ja! — ozwał się Ławrynowicz. — Tylko się trochę z chorymi urządzę.

— Bobyśmy też pani od siebie i nie puścili! — rzekł majster, rzucając spojrzenie ukośne na Jóźwickiego.

— Dziękuję wam za wszystko, i za ten pochówek serdeczny . . . — zaczęła, ale łzami się zalała, i tylko objęła ich za głowy, a oni też dławieni żałością, nic nie rzekłszy, prędko wyszli.

— To ci, którzy urządzali pogrzeb! — szepnął Włodarski do Jóźwickiego. — Czy można im wspomnieć o zapłacie?

Ten potrząsnął w milczeniu głową.

— Przynajmniej mój dar na szpital może się zda? — rzekł po chwili nerwowym tonem.

— Zaczniemy tutejszemi środkami. Jeśli zbraknie, udam się do pana.

— Nie zbraknie! — mruknął Jóźwicki z jakąś zawiścią.

Czuł się niczem, i obcym, i samotnym, i bezradnym, i serce napełniała mu niechęć i upokorzenie, żal przytem do matki, zazdrość o tego brata. Zdało mu się, że wtedy, gdy się nimi dzielono w dzieciństwie, popełniono względem niego krzywdę: jakiem prawem dano mu miljony, a temu matkę!? Bo nie miał matki, i już mieć nie będzie; tamten ją zachował sobie, za grobem nawet . . . tamten — od rupieci!

TRIUMFATOR

Kowal się zwał Krzysztofor Glon, miał kuźnię w rynku, i znał go każdy, mały i duży.

Majster był do lemiesza, sierpa, kosy, podkowy i wozu, do wszelakiej roboty ludziom rolnym zdatny.

Roboty miał huk, bo osada leżała wśród pół zbożowych, lud na niej żył spokojny, pracowity i syty.

Rok okrągły żarzyło się kuzienne ognisko — rok okrągły kuły młoty twardą stal na lemiesze, zgrzytały pilniki i toczydła, wyrabiając ostre kosy, sierpy, motyki i topory — na okolicę chwalono kunszt majstra, szanowano go i przychylność miał ogólną. On sam duży był i toporny — bary olbrzyma, siłę nie ludzką, a duszę prostą i mowę wesołą miał. Ilu ludzi było w osadzie, tyle miał druhów i kumów i kumotrów — u niego rajcowano, u niego się weselono, do niego chodzono po radę i pomoc. Nie było maj-

stra i nie było radcy i pośrednika jak kowal Krzysztofor Glon.

Aliści pewnego dnia zdarzyła się nowina. Do osady zjechał z wielką budą — i na rynku osiadł w wynajętej u Żyda kramicy drugi kowal.

Krzysztofor Glon nie zajrzał mu, ani się go lękał.

Ziemia zjadała dużo lemieszy i tępiła kosy, a dawała zato wiele chleba, będzie dla dwóch roboty i sytości.

Taką miał duszę nie chciwą i nie zawistną.

Nowy majster cudzy był, kusy, czarny, suchy — Grek może, czy Cygan. — No — niechta — w rzemiośle może co się od niego skorzysta — niech kuje na zdrowie.

Kuźnię urządził, warsztat założył. Poszedł doń Krzysztofor Glon na robotę popatrzeć, nauczyć się czegoś nowego, rozpytać, skądby był, gdzie terminował.

Przybysz był z całego świata, całą ziemię przewędrował — wszystko umiał. Jako majstersztyki swej roboty pokazał miecze złotem nabijane i sztylety błękitno szmelcowane, i skrzynie misternie kute, i zamki z ukrytemi sprężynami, i rzędy na turnie-

jowe rumaki — takie przeróżne sztuki, których Glon nigdy nie robił, a ludzie rolni nie znali nawet z widzenia. Krzysztofor Glon oglądał, o nazwę i użytek pytał i głową kręcił — a ludzie się gapili, roztwierając szeroko oczy i uszy na objaśnienie nowego kowala.

— No, a pługi kuć umiesz? — spytał wreszcie Glon.

— Nie, to za gruba dla mnie robota. Jam płatnerz jest!

— To pocoś tu przybył? Tu nie wojują, i pieniędzy w skrzyniach nie trzymają, i złodziei też niema na takie zamki misterne — i konie w turniejach nie służą, ale w bronach i wozach. Źleś trafił kolego — nie będziesz ze swego kunsztu chleba jadł. Chodź do mnie w termin — nauczę cię lemiesze stalić — będziemy razem pracować — i jeść.

Ale przybysz się lekko uśmiechnął.

— Dzięki ci za ofiarę, ale ja się głodu nie boję — bom ci i złotnik jest.

I wydobył sakwę ze skrzyni i jął pokazywać i migotać w słońcu różnemi cackami ze złota i srebra kunsztownie rżniętemi. Były klamry do pasów i guzy do odzieży, i spinki

i rękojeście do nożów i mieczy, a tłum się aż stłoczył, owe blaski żółte i białe oglądając i dziwując się.

A Krzysztofor Glon machnął ręką z pogardą i zawrócił do swej kuźnicy, żałując czasu, który strawił na te odwiedziny. Żaden to z jego cechu był, ni kompan — ot kramarz od fatałaszków. Niech sobie zabawia próżniaczą gawiedź w świąteczny wczas.

Poprzez rynek — naprzeciwko siebie były odtąd dwa warsztaty. Przez sześć dni tygodnia ludzie z robotą kupili się przy kuźnicy — ale w święto szli do Greka — popatrzeć, posłuchać — pogadać, to i owo potargować. Kowal tam nie chodził, lubił w dzień wolny wyjrzeć w pole, obejrzeć robotę swych pługów i kos — przeto i nie wiedział czas pewien, co się działo u Greka.

Aż zobaczył u możniejszych na odzieży guzy złociste i spinki u pasów — i począł się naśmiewać. Ale oni niechętnie przyjęli żarty, a ci, co mu zawtórzyli — to byli ubożsi — a wtórowali — bo im złość była a zawiść — że ich na te cacka błyszczące nie stać. Kobiety też tłumnie odwiedzały Greka, poczęły kłaść na siebie naramienniki i pierścienie, szpilkami upinać włosy —

jedna przed drugą w ozdobach się przesadzać, i te postrojone kazały się wyręczać tym — co na stroje nie miały i — przestały możne chodzić po sierpy do Krzysztofora Glona, bo miały już służebne.

Na niwach zbożnych już nie tak kipiała praca i ochota wszystkiego ludu — znoili się ci tylko — co musieli się znoić, a robili z myślą by zarobić, i zarobek zanieść do Greka, wymienić na podobne możnym ozdoby. Kto tam bardzo dbał o lemiesze, kto na nie patrzał — czarne były, grube — do podłej roboty.

Młódź zapragnęła innego czynu i oręża. Do pasów ze złocistemi klamry przybyły sztylety w pochwach misternych, inni poczepili u boku miecze.

— Poco wy się obwieszacie temi brzękadłami! Toć tylko zawada i ciężar! — mówił do nich Glon.

— Niewiadomo co będzie. Oręż rycerska rzecz!

— A pocóż wam rycerzami być? Bo to wam kto zagraża, macie przed kim się bronić? Idźcie z kosą w pole — łany gotowe czekają.

— Co tam łany. Są na nie parobki, niech koszą. My rycerze!

— Dur na was napadł. A toć zobaczcie, jak robią parobki — jak niszczą pługi — jak marnie koszą. Dziady z was będą nie rycerze — przy takiej robocie.

— Nie tyle bogactwa, co tu u siebie. Na świecie wszystko jest, i można dostać — kto siłę ma.

— Cóż to, na grabież pójdziecie?

— Pójdziemy zdobywać, gdy będziemy mieć oręż i zbroje. Rzuć pługi — idź do Greka na naukę — naucz się kuć blachy na pancerze, na hełmy — na konie zbrojne. Zapłacimy ci dobrze. Co twoje pługi warte!

Musiały być mało warte, bo wszyscy poczęli się z Glonem o cenę targować, zapłaty mu urywać, roboty skąpić. Byle czem, byle jak orano ziemię.

W kuźnicy często bywało cicho i ciemno — z braku roboty — a w izbie bywało czasem już głodno. Glon głód i zgryzotę przesypiał, czeladników oddalił, ale do innej roboty się nie brał — choć go kuszono.

Czasem ktoś biedniejszy prosił go o odkucie miecza, o wyhartowanie klingi, Glon już ze złości wymyślał.

— Rzeźnickie, rakarskie plemię. Nauczyli mnie, jak i czem ziemię rżnąć, — a nie

ludzi. Idźcie do tego złego ducha, niech on z was zbójców robi.

Ho, ho, ale już nie te czasy były, żeby Glon coś ważył w osadzie. Jeszcze biedniejszy mu zmilczał, ale te poobwieszane orężem próżniaki na jego słowo odpowiadali zgóry:

— Stul pysk, gburze i smoluchu!

Doszło to wreszcie do serca Glona, doszło do wątroby. I któregoś dnia ognisko swe kuzienne wodą zalał, skórzany fartuch odpasał, kuźnię zamknął, wziął z chaty wędkę na ryby, i choć sam letni czas roboczy był, poszedł nad rzekę.

Znaleźli go tam parobcy — poczęli wołać o pługi, o kosy, ale Glon odparł:

— A cóż mi to za niewola. Chłopcy przerobili się na rycerzy — smyki na kawalerów turniejowych, rolniki na kasztelanów — to wolno kowalowi rybakiem być? Co? Nie! Niech Grek wam wszystko robi — orzcie i koście jego mieczami i nożami! A swoim panom powiedźcie, że Krzysztofor Glon poprzysiągł, że ogniska nie rozpali, ni młota, ni kleszczy do rąk nie weźmie, aż mu te same rycerze nie przyniosą tych swoich blach greckich — żebym je przekuł na lemiesze!

Tak się zaciął, że choć go prosili i namawiali, choć mu cenę zdwoili, choć mu grozili, że go z osady wypędzą — nie ustąpił, i nie jął się żadnej roboty. Łowił ryby, spał i wałęsał się przypatrując nowym porządkom, ale już słowa nie mówił. A porządki zgoła stawały się inne. Do osady rolnej i zbożowej — zjeżdżali się zdaleka, bywało, ludzie po ziarno; wywozili chleb — a wypróżniali trzosy. Ale teraz ziemia poczęła mniej rodzić, a pieniędzy więcej trzeba było na stroje, na ozdoby, na oręże. Ludzie poczęli narzekać, rozmyślać, przyklinać ziemię, mierzić sobie trud około łanu, jako niewdzięczny — i szukać innych sposobów zdobycia bogactw.

Więc najmożniejszym i najurodziwszym z młodzieży zaręczył Grek, że byle mieli piękną zbroję, — tarczę, rumaka w złociste okutego podkowy i giermka do posługi — to po świecie na takich czekają królewny i królestwa, i honory i zaszczyty, i skarby. Więc oddali mu co mieli grosza za rynsztunek, spaśli próżniacze rumaki, i wyruszyli w świat na wybitkę i na wypitkę. Ale w osadzie zostało jeszcze sporo ludzi—zdrowych i silnych, a łapczywych dostatku bez znoju.

Więc tym opowiedział, że te kupcy, co do nich po zboże przyjeżdżają — mają miasto swe pełne dostatków i skarbów — miasto bez murów i bram — owi kupcy — zajęci przeróżnem rzemiosłem, do oręża niezdatni — i łatwo ich nastraszyć — i skarbami się obłowić.

Tylko trzeba do zwady okazję mieć — i mieć w pogotowiu oręż. Więc się już wszyscy zbroić poczęli, Grekowi sakwy nabijać, uczyć się zabijania, i chciwie wyglądać i wymyślać — o coby się do kupców przyczepić.

I tak się zdarzyło, że raz kupcy przybyli po zboże — wielu wozami, i roztasowali się na rynku. Targ trwał dni kilka, ale choć gwałtem szukano z nimi zwady, nie zdołano znaleźć racji. Kupcy spokojni byli, rzetelni, ustępliwi. Naładowali zbożem wozy i ruszyli. Aliści w godzinę po ich odjeździe gwałt się uczynił na rynku przy studni, tłum, wrzawa, popychanie.

Krzysztofor Glon od rzeki wracał z wędką na ramieniu i rybami w koszyku — podszedł, by się dowiedzieć, co się stało za nieszczęście.

Myślał, że dziecko w studni utonęło.

Aż słyszy:

— Złodzieje, zbóje, gałgany! Gonić ich, bić, siec!

I tłum już się zbiera do pogoni, już chwyta za miecze i noże.

— Co oni zrobili? — pyta Glon. — Ubili kogo?

— Wiadro nam ukradli — wiadro studzienne. My ich nauczym — ręce poobcinamy! Na kolanach, w zębach nam wiadro odniosą.

— Oszaleliście! — woła Glon, zgrozą zdjęty. — O drewniane studzienne wiadro będziecie wojnę toczyć, ludzi mordować! Opamiętajcie się — ja wnet moje własne, większe, kute, nowe wiadro u żórawia uczepię! Oszaleliście, opamiętajcie się!

Ale go już nikt nie słuchał. Wszyscy wrzeszczeli, wygrażali — chwytali co było pod ręką do bicia, i jedni konno, inni pieszo — pognali za kupcami. A Glona też porwała furja, i jakby przeczucie, więc jak był duży i siłacz straszny — uchwycił w swe łapy Greka, potrząsnął i cisnął w studnię.

— Będziesz ty wiadrem, szatanie! — wrzasnął.

Był pewny, że mu śmierć uczynił, a taki

rozżalony był, że nawet nie wyrzucał sobie czynu!

Był pewny, że złego ducha zgładził!

Ale przecie około północy obudził się, szarpnięty niepokojem, wątpliwością. Człowiek to był, czy szatan? Bił się z myślami — wreszcie wstał, i wziąwszy hak na długiej żerdzi, poszedł do studni. Myślał sobie tak: jeśli człowiek — trupa znajdę na dnie — jeśli zły — to sczezł.

Zagłębił hak w studnię aż do dna — szukał, próbował — nie było nic. Ucieszył się — ale wtem hak o coś zawadził — i Glon wyciągnął — wiadro!

To samo, oderwane przypadkiem snać i utopione — o które się tam na drodze ludzie mordowali!

Glon w swej prostej duszy ucieszył się i nie rozważając, czy dogoni napastników — pobiegł z wiadrem na drogę — wołając na całe gardło:

— Wiadro jest, jest! Ludzie uspokójcie się! Wiadro jest!

Leciał drogą w pogoń ile miał sił, i krzyczał, póki tchu nie stracił. Aż wreszcie wyczerpany dopadł bandy jakiejś, która zpowrotem biegła, wyjąc i jęcząc.

Omylili się napastnicy, oszukał ich Grek — kupcy byli czujni, przezorni i zbrojni. Spotkała napastników sroga porażka, a że niewprawni byli i zapalczywi, oberwali takie cięgi, że pierzchli w nieładzie, pobici, ranni, przerażeni.

Glon patrzał ze zgrozą na ich podarte szaty, posiniaczone twarze — na krew, na kulawiznę.

— Ot i zarobiliście! A wiadro jest — było na dnie. Ot i rozum wasz! Ot i rycerstwo!

Z żalu tak mówił, z litościwej złości, ale oni z przestrachu i popłochu wpadli we wściekłość i nie wiedząc, do kogo się czepić, rzucili się na Glona.

— Ty smoluchu, będziesz z nas się naigrawać? Tyś sam z nimi kradł — tyś może ich ostrzegł!

Odzyskali swe rycerskie chęci — na widok jednego tylko wroga, ubiliby go na poczekaniu, ale Glon widząc, że z nim źle — gruchnął w najbliższego wiadrem — obalił — drugiego odepchnął, i umknął w las. Przesiedział w gąszczu dobę całą, i dopiero chyłkiem, korzystając z ciemności, dostał się do osady. A tam wrzało — jakby kto

kij wetknął w mrowisko, i wiele zaszło zmian. Przedewszystkiem zobaczył na własne oczy — że Grek był cały i zdrów — i że mu kąpiel w studni popamiętał — bo z kuźnicy i chaty Glona zostało tylko odymione rumowisko — nie było do czego i poco wracać. Usłyszał też z wrzawy na rynku, że rajcowano tłumnie nad odwetem nad tymi „zbójami", kupcami. Postanowiono w rzemiośle wojennem się ćwiczyć, milicję utworzyć, sprawnych w tym kunszcie nauczycieli sprowadzić, i dopiero należycie się przygotowawszy — pomścić się krwawo zniewagi. Grek naturalnie miał mistrzów bojowych sprowadzić — warsztat swój powiększyć, aby cały naród uzbroić, bo i pachołki i parobki powinni byli orężnie się stawić.

Glona objęła taka żałość i rozpacz, że zatkawszy uszy, w pole uciekł, do ziemi piersiami przypadł, i rolę jęczącemi usty całował.

— Niebogo, niebogo, matko najlepsza! W niedolę i niewolę ciebie zaprzedają! — tak do niej gadał łkając.

Żal mu było bardzo kuźnicy i domostwa, ale stokroć więcej żal owych obłąkanych ludzi, i tej zbożnej niwy. Taką już miał

duszę prostą, a nie chciwą! O siebie mało miał frasunku. Przytulił go las. Pobudował sobie budę w gąszczu niedostępnym, sprawił sidła, wędki i siatki — żył sobie z lasem. Ale coraz to z niego się wynurzał potajemnie, by obejrzeć pole — dowiedzieć się czynów osady: Ho, ho! rojno tam było, i gwarno i barwno!

Stroili się i zbroili, musztrowali, bębnili, trąbili — jakby bezustanny był kiermasz. Na niwach zato, odłogiem leżących, zakwitły maki, osty, kąkole i bławaty, łopian i bylica, jakie tylko były na świecie chwasty i zielska szkodne i płonne. Owad się zjadliwy rozmnożył w zielu, i jastrzębie polowały i lisy na bezbronne ptactwo, co nie miało zbóż ochrony, a na drugie lato wystrzelały z chwastów olsze, brzeźniaki, łozy, głusząc trawę, psując nawet pastwiska.

Ale ludzie się zaś uzbroili, i nauczyli wojowania, i na trzecie lato — w hufce zebrani, z wielką paradą surm huczących, barwnych proporców, rżeniem koni i rycerskiemi pieśni—pociągnęli na zdobycze i na odwet — za owo wiadro!

W osadzie zostali ino starcy, dzieci i kobiety — i Grek. Ale już nie sam, bo za nim

ściągnęło się już ze świata rozmaite próżniacze tałatajstwo. Różne muzykusy i sztukmistrze, pachnidlarze i perukarze, pasztetniki i winiarze, — i to wszystko zostało — jako za subtelne do wojny.

Ale do białogłów szczególny dowcip mieli, i choć zrazu płakały i nudziły, powoli pocieszyły się i uspokoiły — i wcale nie głucho i smętnie bywało w osadzie w letnie księżycowe noce.

Z wojny przybywały różne gońce pomyślne i żałobne, aż wreszcie na jesieni pewnego dnia rozległo się takie larum trąb i dzwonów, że aż do kryjówki Glona echo je doniosło. Wybiegł patrzeć.

To hufce wracały z triumfem, ze zdobyczą, ze sławą śmierci mnogich wrogów i z kupą jeńców.

Glon tak był ciekawy i przejęty, że nawet się nie ukrywał, a ludzie, wiktorją upojeni, gdy go zobaczyli i poznali, zapomnieli urazy, i pociągnęli go ze sobą wspaniałomyślni.

Rozpoczęły się bankiety i uroczystości — lało się wino, płynęło złoto — bez miary i rachunku, bo zdobyczne. W ogólnej radości utonęły płacze wdów i sierót — boć nie wszyscy wrócili, i doraźne sprawy do-

mowe — na białogłowy niektóre. Głuszył wszystko śpiew i śmiech, opowieści i przechwałki, jakby wszyscy pijani byli. Zaraz też rozporządzono, że jeńcy do robót będą użyci w dzień, a zamykani do więzień w nocy!

— Ot — nie lamentuj, Glon! Będzie znowu komu ziemię orać i kosić. Możesz znowu pługi kuć!

Ale Glon na jeńce patrzał, jedne słabe i ranne, inne osowiałe i senne, inne ponuro z pod brwi patrzące, i rzekł:

— Taka to będzie i robota. I taki da plon ziemia, ile ochoty i sporu będzie w tych rękach.

— Nie bój się! Muszą robić — a nie zechcą, to jest na ochotę głód i batóg! Zobaczysz jak się odgrzeją.

Glon wiedział z praktyki, że najlepiej milczeć. — Pobył wśród nich mały czas, a potem znowu do swej budy umknął.

A tymczasem gdy się ludzie przejedli, przepili, przegadali — zaczęli się nudzić — bez roboty. A robotą już nazwali bojowanie. Poczęli się tedy między sobą swarzyć o honory i zaszczyty, o miejsce i głos, o różne błazeństwa, które sami wymyślili

i ustanowili. Poczęli się wysadzać w zbytku i przepychu, stawiać dworce i kasztele, pisać coraz więcej praw, sądzić i karać. Ale wszystkiego było im za mało, bo się nie mogli swobodnie w czasie pokoju zarzynać, ile że to, co było w wojnie sławą — w domu było zabronione i karane. Dostatki też poczęły znikać — gdzieś wsiąkać — po kieszeniach i skrzyniach Greka i jego socjuszów, a pole, licho przez jeńców uprawione — dało lichy plon — a i po ten nikt nie przyjechał — bo kupcy byli zniszczeni, a inni lękali się zbrojnych rolników!

Poczęli się tedy wzajem okradać, oszukiwać, sądy miały co robić i wyrósł w owych czasach cech ludzi giętkich w języku, a krętych w słowie, którzy z owych spraw żyli i bogacili się.

A wreszcie ktoś rzucił myśl, że Grek i jego kompany zanadto złotem obrzękli, i wszczął się przeciw owym cudzym pomruk złowieszczy.

Ale Grek czuwał i nuż opowiadać o jakiemś mieście za lasem, stokroć bogatszem niż owa kupców osada i judzić, by poprobowali tam się obłowić. Już teraz i wiadra im nie było potrzeba — owszem postanowili

znagła napaść i zagarnąć, i skoro wiosna błysnęła, ruszyli na nową wyprawę. Ledwie odeszli, skorzystali z tego jeńce i rozbiegli się — słabe straże pomordowawszy — i zostały znowu pola odłogiem, a osada w oczekiwaniu zdobyczy.

Glon już teraz swobodnie po osadzie chodził, i bardzo się zamyślił frasobliwie, gdy pewnego dnia gruchnęła wieść, że w nocy, cichaczem — ulotnił się gdzieś Grek i wszystkie jego kompany. Zebrał tedy na rynku pozostały lud na radę i rzekł:

— Wiecie wy, że z domostwa, w które piorun ma uderzyć, wynoszą się wcześnie myszy i szczury i szkodliwe robactwo. Źle dufam z tej ucieczki tych gałganów — i radzę ich dogonić, i zawrócić. Tu się obłowili, tu niech trwają i siedzą!

Ale kto miał gonić i zawracać, kiedy zostali z ludu starcy niedołężne, dzieci małe — białogłowy, które acz na zdradę i ucieczkę owych narzekały i pomstowały, ale zarazem nie chciały, by im się jaka krzywda stała, i tym trefnym perukarzom, i tym kudłatym muzykusom, i zgoła całej hałastrze.

Przegadali tedy Glona — i dali ujść greckiej szajce, a wreszcie i Glon pomyślał: Et,

może i lepiej, że się to plugastwo wyniosło. Już ci gorzej nie będzie, jak było.

No, i jakoś proroctwo jego się nie sprawdziło narazie. Wojacy wrócili — nibyto zwycięzcy, ale nie z taką paradą, jak za pierwszym razem. Dużo swoich trupem tam zostawili, i byli jacyś mniej chełpliwi. No, ale przecie — wrócili, i gdy wypoczęli, odzyskali rezon. Spodziewali się pościgu, i nawet byli tacy, co radzili się warować, i gród czynić, ale że jeńców do roboty nie mieli, a sobie poczytywali za despekt ziemię kopać i glinę miesić, więc tylko rozstawili straże po drodze i wokoło osady, a sami używali wczasu i biesiad. Po czasie też, gdy wokoło była cisza — zapomnieli czujności, i czuli się bezpieczni. Brakło im Greka do naprawy oręża, i poczęli namawiać Glona, by ognisko na nowo rozpalił i ładził miecze i pancerze, kusili go różnie, a gdy się oparł — sromotnie go znowu z osady wygnali.

I Glon znowu w swe bory zapadł.

Aliści którejś nocy rozbudził go w budzie jakiś szum, trzask, jakby wielka burza puszczą szła. Wypadł, nasłuchiwał — i poszedł przekonać się, coby to było — bo wicher nie leciał, a przecie coś huczało.

I zobaczył ze zgrozą, że drogą i gęstwiną szło ku osadzie jakieś mrowisko ludzkie, orężne, potężne — i zrozumiał — że to wróg — z odwetem.

Więc choć Glon jeszcze sińce miał od kamieni, któremi go wygnano od swoich — rzucił się biec, by wroga uprzedzić i ostrzec swych nieszczęśników. By czyste pole miał, możeby dobiegł w czas, ale łany były jedną gęstwą zielska, krzów i cierni, w które się plątał, i które go hamowały, i wreszcie upadł bez tchu i sił, na widok łuny, która stanęła nad osadą. A z łuną bił też w niebo wrzask boju, ryki, wycia, jęki, taki klamor straszny, że Glona zmysły odeszły i zmartwiał.

Tak mu sądzono było ostać, bo gdy się ocknął, i zebrawszy siły na pagórek się wdrapał, by spojrzeć na swą osadę — to jej tak jakby nie było. Jak okiem zajrzeć, była jedna pogorzel czarna, dymem osnuta i pusta i głucha.

Gdzie swoi, gdzie wrogi? Podszedł Glon w owe dymy, między te gruzy. Trup leżał przy trupie, wszystkie obdarte i krwawe, z domów sterczały kominy, z pałaców okopcone mury, z drzew osmalone szkielety — ni śladu życia. Znalazł przecie wśród tru-

pów jednego, co jeszcze jęczał — tego wodą ocucił, rany mu obwiązał — i tego pytał:

— Gdzież rycerze? Może to być, by wszyscy legli?

— Pijani byli, śpiący byli, znienacka nas opadli. Legli wszyscy — może nieco w niewolę wzięli.

— A niewiasty, a starce, a dzieci?

— Pognali w pętach — na hańbę, na niewolę! Może kto uszedł, może kto się skrył, może kto jeszcze żyje! Szukaj, szukaj — ja, ja już odchodzę. A ty, Glon — tym, co zostali, nie daj oręża!

I z tem słowem umarł.

Długo Glon szukał życia w trupach, długo słuchał, czy kto się w gruzach nie odezwie — a wreszcie jął zmarłe grzebać, gorzko płacząc. Aż dopiero trzeciego dnia po owej strasznej nocy sądu na tych, co mieczem wojowali — z zarośli jak kuropatwięta, którym starkę ubito—wypełzło kilkoro dzieci, z głodu i strachu nieprzytomnych. Nakarmił je Glon chlebem, który znalazł w zgliszczach, odchuchał je i ułaskawił, i choć słabe i wątłe były to ramiona, kazał im sobie w grzebaniu pobitych pomagać, i rycerskie oczy piaskiem zasypując wciąż im powtarzał:

— Owo, patrzcie i uczcie się, jaki kres takich, co pracują mieczem, co budują na sile oręża!

Dymy opadły, groby trawą porosły, rumowiska deszcz opłukał — i w osadzie został ino Glon z dziećmi. Nie było tym dzieciom czasu ani się bawić, ani hodować. Stali się jedynymi pracownikami i dziedzicami spustoszonej, nieszczęsnej osady. I stały się wówczas dojrzałe i krzepkie i przemyślne pomimo lat młodych. Trzeba im było przecie ojcowiznę wskrzesić, gniazda spalone odbudować, ziemię odłożną wykarczować. Glon je uczył i pracował — znoiły się i one, ale jako mrówcza to była praca.

Aż oto pewnego dnia między zgliszcza wjechali jacyś konni, i jęli się rozglądać, i wreszcie jakby skamienieli ze zgrozy. Wyszedł do nich Glon — zobaczył oblicza jakby znane, a dalekie i pyta niepewny:

— Skądeście, ludzie wędrowne?

— My nie wędrowne ludzie — myśmy stąd kiedyś wyszli na turnieje — i oto wracamy, tęsknotą gnani. Gdzie zaś osada nasza?

— Ot — co zostało.

— A ludzie swoi?

— W ziemi lub niewoli.

— Co się stało? Jako do tego przyszło?

— Nie pamiętacie to? Jakeście lemiesz znienawidzili i pot od znoju nad ziemią! Nie pamiętacie to złotych blaszek Greka, i jego misternych kling mieczowych? A pancerze wasze, co? Co z turniejów przynosicie? A gdzie wasze królestwa i królewny? Samiście wrócili w popękanych blachach!

— Ot co zostało!

I szeroko rzucił ramieniem po ruinach, po zarosłych niwach, i po gromadce pacholąt, co go otaczała.

— Idźcie — mścijcie się, mordujcie wrogów. Odbierajcie mieczem waszą wolę i dolę!

Ale jezdni z koni zsiedli, i rzekli:

— Nas tu w powrót gnała tęsknota do ziemi. I my ślubowali, jeśli żywi dojedziemy — jej służyć. Daj nam pługów —kowalu!

Tedy Krzysztofor Glon jakby jeszcze zolbrzymiał i wyrósł — jakby się wodzem stał.

Wyprostował się, rękawy zakasał.

— Dzieci, węgle na żar i hurtem do miecha! A wy, rycerze — żelazo to precz z sie-

bie — i za młoty! Hej, a żywo! Jakem rzekł i poprzysiągł — tak się stanie. Hej — zbroice na lemiesze, miecze na kosy, bojowe czekany na motyki i topory.

Zahuczały miechy, trysnęły z ogniska snopy iskier, z brzękiem na ziemię u stóp kowala padały zbroice.

A który się wyzuł z pancerza, rękawy zaginał — za młot brał, a Krzysztofor Glon jednym rozmachem pierwszy pancerz rozłupał, na kowadło cisnął:

— Wal! — zakomenderował. — Przeorzemy całą ziemię temi pługami i temi ramiony.

— Amen, triumfator! — odpowiedzieli mu zgodnym chórem, miażdżąc młotami pancerne blachy.

KAMIENIE

Nie było na świecie kamienistszej drogi, niż ta, która wiodła z Woli do Wólki. Czart chyba tyle kamieni nasypał na utrapienie ludzkie. A nietylko droga wśród pól, lecz i pole, i łąka, i wiejskie ogrody, i pastwisko najeżone było kamieniami. Były drobne i duże, gładkie i ostre, były takie, co łamią lemiesze, i takie, co szczerbią kosy, i takie, co kaleczą bose stopy, i takie, któremi się w kłótni kamienuje słabszego, a wszystkie były przeklęte po tysiąc razy.

Przeklęte były za jałowość ziemi, w którą rzucone ziarno obumierało pod ich ciężarem, przeklęte za poniszczone przez nie koła i narzędzia, za pokrwawione na nich stopy i okulawione bydlęta; mieszkaniec każdy Woli i Wólki, gdy mówić zaczynał, już umiał kląć kamienie, klął je aż do śmierci. Klął, narzekał, cierpiał, ale ich nie uprzątał. Ktoby tej klęsce poradził? — gdzie je podziać?

Nie miał na to nikt ani czasu, ani ochoty, ani sposobu — nad siły to było gromady. Gdyby za nie płacono, toby się kto połakomił na zysk: gdyby za to kto nagrodę obiecał, toby inny może na to się ułasił — ale wszyscy tylko narzekali, klęli i cierpieli, i tak trwało. Pola i łąka coraz mniej rodziły; podróżni omijali Wolę i Wólkę; naród ubożał, drobniał, smętniał — i tak trwało.

Aż się trafił z Wólczan jeden — inny. Jan się zwał, a Sokół po ojcach. Silny się udał — na głód i nędzę cierpliwości nie miał, wyrostkiem od tych kamienistych pól uciekł kędyś w świat, i lat dziesiątek wieści o nim nie było. Gdy wrócił, to znalazł te same kamienie, te same markotne, nędzne twarze, tylko nie zastał w chacie ojca, ni dobytku, ni sprzętu. Ojciec umarł, a co po nim zostało, rozgrabili swojacy, krewni i przyjaciele — jako zwyczaj jest. Mógł Jan po sądach chodzić, prawa i sprawiedliwości szukać, swoje odebrać; byli winni nawet w strachu, ale gdy słowa nie rzekł, poraźnieli, i nawet po pewnym czasie poszeptywali z sobą, że albo ich się boi, albo głupi jest. I tak się zostało.

A Jan ze świata przyniósł z sobą trochę grosza i jakąś nie tutejszą ochotę i siłę. I teraz jął się tych kamieni. Uprzątnął je z podwórza i z gumna i uczynił z nich sobie chatę; uprzątnął je z sadu i uczynił z nich płot wkoło swej osady. Uprzątał je z pola i z łąki, siał, zbierał, kosił i bogacił się. Ludzie go znienawidzili z zawiści i ze wstydu. Nazwali go chciwcem i skąpcem, posądzali o czary. On też z tej ciągłej zabiegliwości i pracy stał się milczący i zatroskany, pogardzał próżniakiem i ubogim, nieużyty był, sobą tylko, swą pracą i dobrem zajęty.

Zdało się, jakby z tej masy kamieni, które ściągnął, część mu duszę przywaliła i gniotła. Taką miał szarą i twardą twarz, takie zimne oczy, takie milczące, zaciśnięte usta. Nikt jemu i on nikomu nie dał nigdy dobrego słowa. I tak trwało.

Jednej późnej, błotnej i zimnej jesieni wracał Jan z jarmarku do domu. Jechał powoli, bo w rozmiękłej ziemi wyszczerzyły się wszystkie drożne kamienie i trzęsły wozem okrutnie. I Jan, choć trzos miał pełen na sobie, klął w duchu i tę ziemię, i tych ludzi — a wszystko za owe kamienie.

Aż oto, gdy mijał figurę u rozstaju, wstała z głazu, który tam leżał, kobieta i zawołała na niego:

— Gospodarzu dobry, podwieźcie mnie krzynę!

Chciał minąć obojętnie, ale spojrzał na nią, i tak mu się jakoś litościwie zrobiło w duszy, że stanął.

Kobieta lekko skoczyła na wasąg, i ruszyli.

Konie parsknęły wesoło, zastrzygły uszami, a wreszcie zarżał prawy kasztanek, jakby na ochotę, choć błota miał w kolana, a wyboje bezdenne.

Jan się obejrzał na kobietę; uczuł chęć do rozmowy.

— Zdaleka wy? Nie tutejsza?

— Z dalekiej dali idę. Miejsca sobie szukam.

— Toście w złą stronę zaszli. Tu wam chleba nikt nie da, bo sami nie mają. Ot, nahodowali kamieni; nic tu więcej niema u tych hultajów.

— Niebożęta biedne! Twardy mają żywot — odparła litościwie kobieta. — Przecie i kamienie miłować można.

— A toć miłują, miłują, chowają i szanują. Żadnego nie uprzątną! — zaśmiał

się gorzko Jan — chyba ukamienować brata, to ruszą kamień z miejsca.

— Wam to Bóg szczęścił!

— Pewno, że i Bóg, alem się na Opatrzność nie oglądał, tylkom ręce zakasał i robił. Ho! ho! żeby wszyscy tak robili, toby mieli, ale oni wolą kamienie gryźć a próżnować, a ze mnie drwić, albo mi dokuczać. Takci i mają, gałgany, jako są warci!

— Trza wam było ich uczyć, namawiać, pomagać!

— Aha, pewnie, a za co? Że mi ojcowiznę rozgrabili i pokradli! Jako warci, takci mają.

— Sprawiedliwie. Jak kto dla siebie robi, to wedle tego i ma — westchnęła kobieta.

Milczeli chwilę, aż Jana snadź myśl jakaś trapi, i rzecze:

— Tak mi się coś zdaje, jakbym ja was już widział niegdyś, i głos mi się zda podobny.

— Dobrą pamięć macie. Lat dziesiątek temu, tośmy się spotkali na tejże drodze, jakeście z obczyzny do domu wracali. Szliśmy wpodle aż do wsi i gadali z sobą. Chcieliście mnie ugościć w chacie, ale zaraz u

karczmy ludzie wam powiedzieli, że ojciec umarł, dobytek zmarniał, więceście mnie nie prosili więcej, i rozstaliśmy się. Dobrą pamięć macie!

— A wyście też jednaka! — jakby to wczoraj było.

— Aha, ja zawsze jednaka! — powtórzyła wesoło kobieta.

Wóz skręcił w zagrodę dostatnią, w bramę zamczystą, w podwórze gładko wybrukowane i stanął przed murowaną chatą. Czeladź wybiegła konie wyprzęgać. Weszli do izby. Jan zaraz parobka za jakąś opieszałość zestrofował, dziewkę do roboty napędził, i żony jął rozpytywać o zajęcie dzienne, o pracę, o dochody, o bydło.

Żona, zapracowana, zmęczona, a niespokojna, czy rad będzie sprawom domowym, czy nie mało zrobione, odpowiadała zalękła, służba milczała, dzieci patrzały mu w oczy pokornie a trwożnie.

Kobieta podróżna u progu na ławie pokornie usiadła i rozglądała się po izbie i ludziach.

Nikt nie śmiał spytać, ktoby była, czego chce — boć ją gospodarz przywiózł. Patrzyli tylko na nią ciekawie. Oczy miała

modre i słodkie a wesołe, i twarz jako jakie kwiecie cudne, i szła od niej jakaś lubość i rozradowanie, jako od rozkwitłej na wiosnę czeremszyny. Dzieci wlepiły w nią oczy, a ona na nie skinęła, i jako słowo rzec, tak już przy niej były, i na kolana się wgramoliły, i do piersi przypadły, śmiejąc się i świergocąc. A za dziećmi i matka podeszła, i poczęły z sobą coś szeptać. Dziewka, która przędła, opuściła wrzeciono i słuchała owych głosów i śmiała się, a parobek, który wszedł właśnie, konie oprzątnąwszy, dorzucił drew w komin i rzekł:

— Ogrzejcie się. Narąbię dla was cały sążeń!

Jan na nic nie zważał. Wysypał na stół pieniądze z trzosa i rachował.

A wtem drzwi skrzypnęły i wszedł sąsiad. Popatrzał na białe srebro, i westchnął, a pozdrowiwszy, zagaił:

— Wiecie, Janie, podatki zbierają.

— Wiem, co mi za kłopot. Na swoje mam.

— Wiadomo, i więcej macie. Pożyczcie mi, a to ostatnią krowę zabiorą.

— A tyś mi pomagał kamienie zbierać?

— Na swojem zbieraliście!

— I dla siebie. Było tobie także na swojem zbierać.

— Sprawiedliwie mówicie. Dał wam Bóg większy rozum i siłę, poratujcie głupszego i słabszego. Dobrem sercem wam odpłacę.

— A mnie poco twoje serce? Kamienie od was miałem i kamień każdemu z was dam!

— Gospodarzu, dajcie mu poratowanie! — odzywa się podróżna kobieta.

Obejrzał się na nią proszący i zapłakał.

A Jan, jakby nie słyszał, odrzecze:

— Co mam, dla mnie jest, nie dla hultajów i próżniaków. Idź precz i giń, boś tego wart. Onegdaj ukradłeś mi siano z łąki. Jeszcze cię za to w kryminale osadzę!

Sąsiad już więcej nie śmiał mówić.

A podróżna rzecze:

— Ubogi jest, darujcie, rozumu nie ma, w biedzie jest, nie dajcie mu zginąć. Miłościwy bądź, bogaczu mądry!

Jan srebro zgarnął i w tym szeleście nie dosłyszał, co mówiła, a sąsiad przekleństwo zamruczał i wyszedł. Ale wnet za nim wsunęła się stara kobieta.

— A czego znowu? — Jan ostro zagadnął.

— Sąsiedzką przysługę mi uczyńcie. Zaniemogła mi córka, w gorączce majaczy. Pożyczcie waszych koni po doktora pojechać.

— A gdzież wasze konie?

— Toć wiecie, że w lato klacz nogę złamała i dobili. Nie mamy żadnego.

— A skądże ja mam? Czemu moje nogi nie kręcą po kamieniach? Toć wasze pole z mojem omiedzę, i tyleż macie ziemi! Wyście wydziwiali, jakem zbierał i uprzątał głazy, nie pomogli, nie skorzystali, jeszcze mi ze swego pola na złość podrzucali. To teraz do mnie o ratunek nie chodźcie. Co mam, dla siebie mam.

— Janie, miejcie-że Boga w sercu! Dziecko mi chore! Wasze konie jak lwy, co im to znaczy ta trocha drogi!

— Wy ich nie karmili. Ja karmił, i dla mnie robić będą! Idźcie mi z oczu.

— Gospodarzu, pomnijcie na wasze dzieci, poratujcie! — rzecze wędrowna kobieta.

Ale Jan srebro do skrzyni chował i jakby nie słyszał, a sąsiadka, płacząc, wyszła.

— Wieczerzę staw! — zawołał Jan na żonę.

Poskoczyła do garnków, rozszedł się zapach dobrego jadła, zabrzęczały misy i łyżki.

A wtem w progu stanął chłop blady, z próżnym workiem pod pachą, rozejrzał się, przełknął ślinę i, podrapawszy się w głowę, rzecze:

— Przyszedłem do was pożyczyć pół korca żyta.

— Pożyczyć! — zaśmiał się Jan. — A z czegoż oddacie? Toć jeszcze nie zima, i już swoje zjedliście!

— A zjedli. Siedem gęb w chacie. Nie urodziło! Da Bóg lepiej na przyszły rok, to oddam. Tymczasem jeść trzeba — odparł chłop i stęknął. — Wy do zbycia macie, to wam nie bieda, jak mniej sprzedacie.

— Pewnie, ale co zjem, to moje, co sprzedam, to też moje. Twoje u ciebie, nie u mnie. Idź, pożycz sobie u tych, którzy rozgrabili moją ojcowiznę. Lekko im przyszło, pewnie zabogacieli.

— Dobrze wam drwić. Wiecie, że oprócz was nikt nie ma. Do kogoż pójdę? Co jeść dam, jak wy nie poratujecie? U mnie w chacie już trzy dni nie jedli.

— A u mnie jedzą trzy razy dziennie to, com temi oto rękoma z tych kamieni, co wy hodujecie, krwawą pracą wydarł. Było tak samo robić, tobyście mieli, a nie chcie-

liście, woleliście spać i na mnie psy wieszać, to teraz żryjcie kamienie i idźcie do djabła, który je wam nasypał.

— A pewnie pójdziemy do djabła. Głód do nieba nie zaprowadzi! — burknął chłop.

— Do wieczerzy! — zawołał Jan, spojrzał na kobietę w kącie, i wnet oczy umknął.

A ona wstała, pocałowała dzieci, skinęła głową wszystkim i rzecze:

— Żegnajcie, nie będę z wami wieczerzała, ni u was gościła. Nie mogę zostać. Mój brat tu przyjdzie do was.

— Zostańcie! — raptem zawołali wszyscy.

A ona nasunęła płachtę na oczy modre i łez pełne, i rzekła:

— Nie mogę! Radabym! Żegnajcie, gospodarzu! Ja do was przyjdę jeszcze raz, kiedyś . . . Teraz wam mego brata trzeba, ale ja potem do was przyjdę, przyjdę! Żegnajcie, żegnajcie!

I przewinęła się wśród nich, i przepadła w czarnej sieni.

A w izbie jakby pomroczało, poziębło, i zrobiła się cichość; tylko dzieci uderzyły w długi, żałosny płacz.

Ale wprędce wśród pracy i zabiegów zapomnieli o gościu, i nikt go więcej we wsi nie widział.

Nastała zima, i znowu raz, gdy Jan z miasteczka z targu wracał, przyplątał się do niego pies siwy, i aż do chaty za wozem przybiegł i na podwórzu został.

Nikt go zrazu nie zauważył, bo w chacie było coniemiara niepokoju i trwogi o dzieci, które tegoż dnia pochorowały się na szkarlatynę. Zaznały wtedy drogi spasłe Janowe konie, poszło ze skrzyni sporo grosza, ale nadarmo, bo jednego wieczoru oboje dzieci pomarło. W izbie zawodziła matka ponuro, siedział milczący Jan, a za oknem pies przybłęda wył i skowyczał.

Wywieźli na cmentarz dzieci; do zarażonej chaty nikt nie wstępował; gospodarze jakby poniemieli; czeladź uciekła, bojąc się choroby. Wśród głuchej zimowej nocy — czasem pies przybłęda zaskomlał żałośnie. Jan go przepędzał, kamieniami w niego ciskał, nikt go nie karmił, zimował na dworze, ale z osady nie było sposobu go się pozbyć. Podrzucał mu wreszcie Jan trutkę, na pętlę chciał pojąć: pies trutki nie brał, pętli uchodził, ale wracał i nocami skowytał.

W Zapusty wyprowadzono Janowi ze stajni konie wśród nocy. Gdy się rankiem obejrzał, popędził za śladem, poprzysięgając, że chyba padnie, a złodziejów odszuka. Gonił ich mil kilkanaście, wreszcie dopędził w boru. Jednego konia ze złości zastrzelili, drugiego przecie odebrał, i napół żywy z męki wracał do domu. Czuł, że go niemoc dusi, że odchoruje, więc resztą sił, do domu, do pościeli dążył.

O milę był, gdy mu przejeżdżający znajomy rzucił, mijając:

— Nie macie do czego wracać! Ogień wymiótł, co żyło i było.

Już Jan nie jechał, i nie kierował, już go koń zaprowadził do owego — niczego.

Z osady zostało, czego ogień nie ima — ino kamienie.

A na zgliszczach pies siwy siedział, i wył, i zawodził.

Takci też do jego wtóru zawył Jan i padł objęty rozpaczą, i żalem, i śmiertelną chorobą, i więcej nic nie pamiętał, nie czuł.

Objęły go ognie i paliły, aż zgorzał do cna, do głębokości duszy; smagały go bicze bólu, aż wysmagały wszystką krew, i gdy z owego ognia wyszedł, to był z niego ino

popiół, ino zgorzel czarna. A na świecie właśnie uczyniła się wiosna. Przyleciał bocian do gnizda na Janowe gumno: krążył i odleciał; przyleciały jaskółki pod strzechę chaty: szukały, świegotały i odleciały: zachodzili sąsiedzi, mówili do Jana, ale że im nie odpowiadał, odchodzili, ramionami ruszając.

I wreszcie tylko z nim na tych zgliszczach pies przybłęda został, naprzeciw niego leżał i patrzał. Jan już nie miał siły, ni woli, by go odegnać, i nie miał mocy od jego oczu swych oczu oderwać, i tak byli jakby skute z sobą niewolniki.

Aż raz coś stanęło między nimi, a Jan oczy zmrużył, coś mu zadrżało pod żebrami, załaskotało w gardle i zapłakał. Owa kobieta wędrowna do niego szła przez pogorzel i kamienie, i objęła go za głowę litościwie, i utuliła do piersi, a on ze wnętrza duszy szlochać począł. Na zgorzel duszy szły jako deszcze majowe, na popielisko jałowe, by wskrzesić trawy i kwiaty.

A wreszcie z jękiem do niej mówi:

— Uczyń co, by ten pies tak nie wył.

— Pójdź stąd, od wszystkiego, co twoje było, i przeszło, od tego, coś dla siebie zdobył, i coś stracił. Pójdź.

I uprowadziła go, okrywszy mu oczy połą swej płachty, a on, ufny, szedł.

Za wsią daleko rozdół pusty i jałowy był, cierniem porosły, piołunami i bylicą. Tam spoczęli we dwoje, i on odetchnął, bo zgliszcz osady stąd widać nie było, ni wycia psa słychać. I zmożony usnął.

A gdy się obudził, mocniejszy się poczuł, i w sobie cichszy. Wokoło też wielka cichość pól była i mail się świat. Poszukał oczyma owej kobiety pocieszycielki, i ujrzał ją, jak wśród niw szła i schylała się, i coś zbierała w połę płachty. A ilekroć zbliżyła się do niego, to spoglądała litośnie i słodko, i znowu z uśmiechem chyliła się do ziemi. Nie miał sił, by do niej iść, i z dziwem patrzał, że zbierała kamienie. A gdy płachtę miała pełną, rzuciła ciężar w ów rozdół jałowy, i znowu szła, chyliła się, i brała kamień po kamieniu, każdy: i taki, co kruszy lemiesze, i taki, co tępi kosy, i taki, co kaleczy bose stopy, i taki, który się w gniewie na bliźniego ciska; wszystkie zbierała, uprzątała.

A gdy znowu była blisko Jana, spytał:

— Co czynisz?

A ona z uśmiechem odpowiada:

— Chcę z ziemi tej zebrać wszystkie kamienie.

— Jak to? Poco?

— Aby setne plony dały niwy, aby nie krwawiły się stopy, aby nie niszczał dobytek i narzędzie, i aby nie klątwy i narzekania, jeno śpiew i śmiech od pól tych ku niebu szły.

I wyciągnęła szeroko ramiona, jakby niemi cały świat objąć i ogarnąć chciała, i cała w jasności, w rozradowaniu, w szczęśliwości patrzała w niebo.

A potem na Jana patrzy i mówi:

— Pamiętasz? takeś i ty chciał czynić, gdyś ze świata do dom wracał, gdyśmy to z sobą szli wpodle.

— Chciałem, z duszy chciałem, ale mi ludzie krzywdziciele, szyderce, wrogi, nie dali! I ty też ustaniesz, jako ja.

— Nie ustanę, bo ni dla siebie czynię, ni dla kogo. Nie ustanę ja, nie ustanę!

I znowu śmieje się, i schyla, i zbiera, a im cięższa płachta, tem się radośniej uśmiecha.

A Jan oczyma za nią idzie, i myśli, i rozważa. A cicho jest bardzo, i czasem dolatuje go od czarnej plamy zgliszcz żałosne

wycie, i wtedy szarpie go ból, krwawi się w nim pamięć.

— Uczyń, bym go nie słyszał, tego wycia — prosi.

— Nie słuchaj! Pójdź za mną, czyń za mną. Będziesz wtedy słyszał, jak ziemia gra, jak niebo śpiewa! Pójdź za mną.

— Niemocnym jest. Nie udźwignę!

— Spróbuj. Ze mną udźwigniesz i głazy węgielne!

Podniosła go, podparła ramieniem, poprowadziła; zaczął jej podawać do płachty kamienie, zmocnił się, wyprostował, rozprężył ramiona.

Wtedy oddarła połowę swej płachty, i opasała go nią, jako siewcy się opasują, gdy ziarno ziemi dać mają, i poszedł za nią.

A po znojnym dniu spoczęli na skraju owego rozdołu, od ludzi i gwaru dalecy, i on położył głowę na jej kolanach, i słuchał, co ona mu mówiła.

Uczyła go słuchać, jako cisza mówi, jako ziemia gra, jako niebo śpiewa, i słyszał.

I mówiła mu, jako tu będzie, gdy nie stanie kamieni, i poczynał się tem cieszyć, i poczynał zapominać, czyje to pole i komu je zbiera, jeno radować się, że ich, tych kamieni, nie będzie.

A wśród tych rozmów usnął, i nie słyszał wycia psa przybłędy, ani wspomniał swej osady.

I oto rozeszła się po Woli i Wólce gadka, że Jan bogacz z nieszczęścia rozum stracił.

Osadę opuścił, wszystko swoje rzucił, i oto jako obłąkany po polach chodzi, kamienie w płachtę zbiera i do wąwozu nosi. Ludzie patrzyli na niego zrazu ze zgrozą i trwogą; myśleli, że co złego zamyśla i pojmali go raz, i zaprowadzili do gminy.

Ale Jan, gdy go pytano: co robi i poco? — odpowiedział:

— Kamienie zbieram, by ich nie było. Nic więcej już robić nie będę.

Urząd go badał, doktór go badał, wreszcie puścili.

Naród się z nim oswoił, uspokojony, że nieszkodliwe ma szaleństwo; wprędce też zaczęli go prześmiewać, przedrzeźniać — wiadomo: jako obłąkanego, który bronić się nie chce, czy nie umie, a może i nie rozumie naśmiewań. Dziatwa za nim biegała, jak za cudakiem; ludzie go nazwali „głupim“, mało kto podał mu chleba kawałek, i dobre słowo.

Ale Jan jakby jednakowo głuchy był na

urągowisko, jak i na dobre słowo i posiłek. W ścianie wąwozu uczynił sobie schronisko, jak zwierz borowy; z nikim nie rozmawiał, o nic nie prosił.

On tylko zbierał kamienie. Schylał się, schylał, dźwigał, nosił, i zapatrzony wdal przed siebie, do kogoś się uśmiechał, z kimś bez dźwięku mówił, kogoś słuchał.

I tak czynił dni, miesiące, lata — całe życie.

W Woli i Wólce ubywało kamieni. Zauważyli to przejezdni, i pytali, coby było.

— „Głupi“ zbiera! — ze śmiechem odpowiadali miejscowi.

I ubywało z pola kamieni.

I sąsiad mówił do sąsiada ze śmiechem:

— Patrzaj-no, „głupi“ teraz dla ciebie robi.

A wreszcie i do Jana zagadywali:

— „Głupi Janie“, toć zbierasz na polu owego, który ci ojcowiznę zagrabił.

Ale Jan na mówiącego patrzał jasnemi oczyma i odpowiadał bez związku:

— Z nią zbieram. Wszystkie zbiorę, by i głazy węgielne.

I zbierał. Aż wreszcie ludzi jakiś dziw ogarnął, i jakiś wstyd, i przestali się z niego śmiać.

I często patrząc na niego niejeden stanął, i zadumał się, i schylił się, i pomógł mu kamień podnieść.

A kamieni ubywało i ubywało. Wieść się coraz szerzej rozchodziła, wreszcie ktoś możny zjechał, by się przekonać, co się tam stało.

Ale to było po wielu, wielu latach. I zdumiał ów możny — w Woli i Wólce nie było już kamieni.

Nie było ni takich, co szczerbią kosy i lemiesze, ni takich, co kaleczą bose stopy, ni takich, które się w złości na bliźniego ciska.

A naród wesoły i zdrów, i dostatni, zawiódł owego możnego do rozdołu, a rozdół był pełen kamieni.

A na skraju, na progu schroniska, bo to wieczór był, siedział „głupi Jan", latami stary, a prosty, krzepki, z jasnemi oczyma i pogodną twarzą.

— Tyś zebrał te wszystkie kamienie? — pyta z podziwem możny.

— Z nią wespół!

— Z kim z nią?

— A ot, z nią! — i pokazuje koło siebie.

— Toć tam nikogo niema.

— Dla was niema, i ze mną niegdyś nie była. Przeto kamienie były, a teraz ich niema.

— Głupi jest, — tłumaczą ludzie szeptem — ale dobrze czynił.

— Możebyś czego pragnął za to, coś uczynił? — pyta możny Jana.

— Cobym i wymarzył i wyśnił, to wszystko u niej jest, i wszystko mi daje. Nie widzisz to jej? . . . biednyś ty, niebożę! . . . to i nie zrozumiesz, co ci opowiem o niej. Biednyś ty, biedny!

I litościwie nad tym możnym pokiwał głową „głupi Jan", który za cały majątek miał zebrane z dróg i pól ludzkich ostre kamienie.

TUTEJSZY

Na Wyszogrodzie pan — miał wiele ziemi i siły. Lubił łowy i boje, puhar i rumaki, więc dużo mu trzeba było obszaru. I tak za zwierzem i pastwiskiem zaszedł w strony mroczne i, zda się, puste. Gdy jednak klamor uczyniły jego zbrojne surmy i myśliwskie rogi, z borów wyszedł człowiek, odziany szaro — jak pień drzewa, cichy, jak głąb leśna niufny, jak zwierz, i począł się hufcom przyglądać. Pojmano go i przyprowadzono przed oblicze pana, a ten go pyta:

— Ty kto?

— Ja tutejszy.

— Znasz granice krainy swojej?

— Ta znam, ale przeorali jedni, przecięli drudzy, przekosili się inni.

— Wiedź mnie po granicy. Ja pan. Gdzie mój znak stanie — całe będzie, a ciebie uczynię moim sługą — i będziesz pod mą ręką bezpieczny. Jak się zowiesz?

— Ja? Kuźma! — odparł szary człek — i, jak mu rozkazane było, poprowadził.

Pan, co rzekł, dotrzymał. Po granicach swe znaki i kopce uczynił — kto był się worał, wkosił, werżnął, tego przegnał lub zgładził, a Kuźmę za sługę wziął i kazał dla siebie kasztel zbudować. Potem zaś odjechał w inne boje i łowy — a Kuźmy kraj do swych dóbr wpisał i tak się to stało i zostało.

W kasztelu zostawił swego namiestnika i ze swych ziem wysłał w owe bory różny naród, a z borów brał, co tylko bór dawał — ale innego pana nie puszczał w granice — i Kuźma spokojnie ziemię orał, bydło chował i pana słuchał, choć go ni znał, ni rozumiał, ni kochał.

Dużo czasu minęło, i dużo się na świecie zmieniło, ale Kuźma to się nie zmienił. Jednako był szary, i milczący, i niezbadany.

Bywał w kasztelu, gdy mu kazano, ale do wojaków, co tam orężnie się ćwiczyli, nigdy nie przystał — bywał w osadach nowych ludzi, gdy czego potrzebował, ale nie przejął ani ich obyczaju, ani mowy — pogardzono nim — za ostatniego mając — a on pogardę znosił — jarzmo i baty cierpiał —

a w głębi duszy na przybyszów zgóry patrzał — choć tego ni słowem, ni wzrokiem nie zdradził.

Aż raz wezwano go do kasztelu i ogłoszono, że pan na Wyszogrodzie umarł, a ziemię jego wziął inny pan, co się kniaziem zowie. Płakali po śmierci pana wojaki jego, namiestniki, osadnicy i sługi — ale Kuźma nie płakał, i nawet jakby podrósł, bo kniaź go przed oblicze swoje wezwał i dobrotliwie ugościł i przemówił:

— Nie sługą, a synem mi będziesz. Cały kraj ten nasz będzie, a my sobie równi.

Nie potrafił dziękować Kuźma i tylko co chwila czekał, żeby go w kniaziowskie szaty oblekli i dali tyle pić i jeść, ileby chciał.

Ale tymczasem kazali mu granice wskazać, znaki pańskie kniaziowskiemi zastąpić, obdarowali go i w kniaziowskie barwy odziali — i potem kniaź odjechał, swoich namiestników osadziwszy — a Kuźma wrócił ziemię orać, bydło chować — i służbę pełnić. I tak przeszedł czas niemały. Uczono Kuźmę orężem robić — więc robił — czarne kreski na karcie kreślić — więc kreślił — kniazia swego sławić — więc sławił — a gdy

kiedyś kniaź zjechał — przywołano go przed oblicze i ten go pyta:

— Ktoś ty jest?

— Ja tutejszy! — odpowiedział Kuźma.

— Głupiś — kniaziowski sługa jesteś. Jeszcześ nie zrozumiał! — zakrzyczeli namiestnik i stróże. Wzięli go na naukę i jęli wykładać.

Oto jakiś krewniak wyszogrodzkiego pana się zjawił i z kniaziem sąd rozpoczął. Jeden swych praw dowodził i drugi — jeden się Kuźmą świadczył i drugi. Dlatego kniaź tu zjechał.

— Jakże, głupi, nie wiesz żeś kniaziowski?

— Juści, wiem.

— No, to gadajże tak na sądzie.

— Juści, będę gadać.

— Bo jak nie zaświadczysz prawdy, to cię stąd w pustynię wygonią. Rozumiesz — pamiętaj sobie!

— Co nie mam pamiętać.

Wyrwał się, wszystko przyobiecawszy i schował się w swe bory i tak się zataił, że jak przyszedł dzień sądu, ledwie go znaleziono.

Przyprowadzono go do kasztelu — postawiono przed majestatem sądu. Lica tego,

co sądził — nie mógł dojrzeć zrazu, tak się zląkł. Z jednej strony kniaź stał — i groźnie nań patrzał — a z drugiej strony jakiś młodzieńczyk stał — i skoro go spostrzegł, zagadnął:

— Poznajesz ty mnie, Kuźma?

Kuźma w kudły się podrapał.

— To dziwo, że poznaję.

— Któż ja taki?

— Wiadomo — pan — wyszogrodzkiego wielmoży — panicz!

— Nie pilnowałeś to granic mego rodzica? Nie stawiałeś znaków, nie sypałeś nam tego kasztelu?

— Wiadomo, że ja wszystko robił.

— A potem je poniszczyłeś — i przysięgałeś drugiemu i teraz świadczysz za nim?

— Wiadomo, że świadczę.

— Jakaż u ciebie prawda?

— A taka, że mnie wolno moją ziemię temu dać — komu zechcę.

— Jakto twoją? Moja jest — krzyknął kniaź.

— Moja była!—krzyknął Wyszogrodzki. — Nie pamiętasz, chamie, jakeś memu ojcu przysięgał.

— Nu, to co?

— Czemu nie dotrzymałeś?

— A wasz ojciec czemu nie dotrzymał?

— Jakto nie?

— A takto. Obiecał granicy strzec, com mu ukazał. On się u mnie za stróża zgodził, to było stróżować.

— Ach, ty chamie! Mało cię mój rodzic bił, kiedyś taki hardy.

— Otóż to — mnie bił, a byle świnia granice ryła.

— Coś rzekł? — jak śmiesz tak mówić! — porwał się kniaź. — To ty, świnia, cham!

— Nu, niech ja będę świnia. Wyście obiecywali, że mnie równym sobie uczynicie — dlategom was przyjął za stróża.

— Ty — mnie!

— No, a jakże — a któż tu pan? — wy — co przyszli — jeden z prawa, drugi z lewa — czy ja — co tu zawsze był — ja — tutejszy.

— Ale byłbyś, gdyby nie ja! — co ty znaczysz! — krzyknął pogardliwie Wyszogrodzki.

— Juści więcej od was — bo wy byli — a ja jestem.

— Przez moją moc i ochronę! — krzyknął kniaź.

— Iii — taka tam moc, kiedy się prawujesz — taka tam ochrona, kiedy ja, ot, świadczyć za tobą muszę.

— Masz milczeć i spełniać, co każę.

— To pocoś uczył i gadał, że my bracia i równi? Tamten mnie bił, to i jego pobili — a tyś mnie uczył i nauczył — to ty mnie już nie potrzebny. Ja tutejszy był, tutejszy zostanę — ot, co ja świadczę — w prawdzie.

Od majestatu rozległ się głos potężny — jakby dzwonu:

— Tutejszy był, tutejszy jest, tutejszy zostanie.

A za nim drugi powtórzył donośny jak bojowa surma:

— Kto był na początku, ten trwać będzie do końca. Kto przyszedł — odejść musi.

Kuźma oczy podniósł ku majestatowi — i ujrzał, że siedziały tam w chwale i wyrok wydawały dwie niewiasty.

I wtedy, nie wezwany, ani przymuszony pokłon im dał.

TAK ZWANI „GŁUPI“

(OPOWIEŚĆ SPOŁECZNA)

Wieś była duża — zagród około stu, ludzi pewnie więcej pół tysiąca. Wśród tego narodu byli rozmaici: dzieci i starsi, młodzi i dorośli, baby i chłopy. Było też wielu mądrych, a sporo głupich — ale takich prawdziwie głupich, których nietylko wszyscy inni tak zwali — ale i oni sami na to określenie się zgadzali — było we wsi troje. Mieli oni swe imiona i nazwiska, jak każdy, ale z biegiem lat zatracili je i znani byli we wsi pod przezwiskami: Choczka, Niechoczka i Dreptucha; do tych przezwisk dodawano każdemu stale: głupi!

Głupi Niechoczka pasał gromadzkie świnie i owce. Głupi Choczka był szewcem i grywał na skrzypcach. Głupia Dreptucha była baba włóczęga, a co gorsze — złodziejka.

Wszyscy oni urodzili się we wsi i bieg życia rozpoczęli normalnie — tylko potem ten bieg się wykoślawił, bo byli głupi.

Niechoczka był synem bogatego gospodarza — miał dwóch starszych braci — rozumnych, zapobiegliwych, pracowitych, — z których jeden nawet był wójtem, drugi zaś, skończywszy świetnie ludową szkołę — ubrał się czarno i został pisarzem w jakiejś kancelarji. Niechoczka, przy środkach finansowych chaty i protekcji braci — mógłby także zostać czemś lepszem — ale nie było na niego rady: Niechoczka — nic nie chciał.

Nie chciał przedewszystkiem chodzić do szkoły — nie pomogły ani rozkaz ojca, ani namowy matki, ani drwiny braci, Niechoczka nie chciał nic umieć, niczem zostać, — a co gorsze i w czem się najbardziej okazywała jego głupota — nie miał dla nauki i rozumu najmniejszego szacunku i uznania.

Przychodziło z tego powodu w chacie do gwałtownych scen, łajania i bicia, ale chłopak był niewzruszony na urągowiska, pod razami jeszcze się gorzej zacinał.

— Nie chcę! nie będę! — powtarzał z kamiennym uporem.

Nareszcie, po jednej takiej egzekucji, rozzłoszczony ojciec rzekł:

— Poczekaj — robisz ty nam hańbę, zrobię ja i tobie.

I poszedł do gminy, zapisał go na świniopasa do wiejskiej trzody.

Był pewny, że to skruszy chłopaka, ale gdy Niechoczka posłyszał, że ma nazajutrz objąć ten niechlubny obowiązek, wbrew ojcowskiemu oczekiwaniu nie wypraszał się, ani protestował. Zwrócił się do matki i rzekł:

— Matko, daj nici — będę sobie bat kręcił. A poszyj mi torbę na chleb.

Całą noc bat kręcił, biczysko wyrabiał, i skoro świt, torbę z chlebem wziął, dziurawy kapelusz z fantazją na tył głowy nasadził i paląc rozgłośnie z bata, poszedł środkiem ulicy wioskowej, krzycząc:

— Na schód, świnie! do szkoły owieczki! Ja starszyna wam. Nie mnie będą w skórę bili, ja bat mam.

Od tego dnia przezwano go, wśród śmiechów i urągowiska — „głupi Niechoczka“ i odtąd go inaczej nie zwano.

Uczynił wielki wstyd i hańbę rodzinie, więc aby ją zmniejszyć i oni rozgłaszali, że niespełna rozumu jest.

Po roku ojciec umarł, brata wybrano na wójta, młodszy świetnie szkołę skończył —

chciano tedy Niechoczkę w domu zatrzymać, aby w gospodarstwie pomagał, ale i tu natrafiono na protest.

Szesnastoletni Niechoczka nie chciał gospodarzyć i pracować, zupełnie się z pod woli i kierunku rodziny wyemancypował. Jeszcze im naurągał:

— Oho, zaraz! będę ja robił, orał i siał, potniał i chylił się, żeby grad bił, deszcz gnoił, mróz dusił — a co zbierzesz i nie zjesz — to ci zabrali do gminy, czy Żydy do miasta. Nie chcę i nie będę robił. Ja już przywykł panować i nic innego nie chcę, tylko panować. Wy sami durnie — wam się zdaje, że panujecie, a wy tylko świnie i owce. Każdy z was ciągnie sadło i wełnę, a ze mnie nikt nic nie pociągnie i będę żył, jak mi ochota.

Zagrożono mu tedy, że go z chaty i ojcowizny wygonią, jeśli wspólnie pracować nie będzie. Na to zabrał swe szmaty, bat, kapelusz i sam się wyniósł.

Sam odtąd zawierał z gromadą umowę na pasterza.

Przez lato pokolei każda chata go karmiła, oprócz tego dostawał po kilka groszy gotówką za każdą sztukę swej trzody — po

bochenku chleba i kawałku słoniny jesienią, gdy bito wieprze, i po garści wełny, gdy latem strzyżono owce.

Pod tym względem umiał rachować i pamięć miał bajeczną. Doszedł też do bajecznej w swym fachu doskonałości. Nie robił nigdy szkód swą trzodą — upasał ogromną ilość sztuk sam jeden — i znał, pamiętał, czyje i ile pasał. Zresztą był zupełnie głupi.

Całe lato, po całych dniach, był w polu i na nogach, zupełnie obojętny na skwar czy deszcz — nigdy długo nie ustał na miejscu, ani umiał iść wolno, zawsze podrygiwał i biegł truchtem, pogwizdując, pośpiewując, gadając do świń i owiec, jakby go mogły rozumieć, a wieczorem, nieodmiennie, gdy wśród tumanu kurzu trzoda jego wpadała w wioskową ulicę, rozlegało się potężne palenie z bata i głos Niechoczki:

— Hurra, hurra! idzie czereda i ja, jej starszyna!

Krzyczał, gwizdał, pohukiwał i biegł w końcu, skacząc i śmiejąc się na całe gardło.

Wiadomo — jak głupi. Bo i czego miał się weselić? Nagie ciało, spalone na cegłę, świeciło mu z pod podartej koszuli, parcianki wisiały w strzępach — a był taki

próżniak, że choć umiał i miał czasu do syta, nie uplótł sobie nowego kapelusza, ani postołów.

Codzień wieczorem wstępował na wikt do innej chaty. Zasiadał do wieczerzy wraz z drugimi i słuchał gawęd z życia rodzinnego i wiejskiego. Słuchał, jak głupi — a gdy się najadł — odzywał się, jak głupi.

Gdy mówiono, że kto zachorował — mówił, śmiejąc się:

— Moi wszyscy zdrowi i żywi.

Gdy słyszał, że gdzieś ludzie się pobili, że coś komuś ukradziono, że ktoś miał sprawę w sądzie, że komu koń lub bydlę zdechło, odzywał się:

— W moim narodzie czuj duch, nie wolno bić się, i mnie nikt nie bije, bo ja bat trzymam — aha! I nie śmie mnie nikt okraść — nie dam się. I sąd dziś miałem i wygrałem — i bydełko moje zdrowe!

Czasem się drażniono z nim i wyciągano na gawędę, żeby się śmiać.

— No, a co ty masz do ukradzenia? Powiedz, spróbujem.

— Spróbujcie! — i pluł wtedy bardzo zgrabnie i daleko przez zęby, z charakterystycznym świstem.

Pokładali się ze śmiechu.

— A sąd z kim miałeś?

— A z deszczem. On na mnie pluł, ja na niego. On swoje gadał, ja swoje. Taka komedja była, że aż owieczki się śmiały. A taki on przegrał, bo ja dłużej pluł. Poszedł na las, batem go gnałem — uciekł!

Nawet się dzieci z niego śmiały.

— A dużo masz swego bydła?

— Kto je zliczy . . . Ćma!

— A jakie ono?

— Wszystko rabe.

— A gdzie ono?

— Jest takie, co na gałęzi, jest takie, co w wodzie, jest takie, co w ziemi. Het, wszystko moje.

I wielkim gestem zataczał ramię na cały świat.

W chacie nie lubił nocować, dowodził, że mu duszno i ciasno — sypiał na dworze — na przyzbie, pod okapem strzechy — parę godzin zaledwie, bo już przed świtem budził wołaniem gospodynie, by mu wypuszczały jego „naród". W dzień też nigdy nie zasypiał, jak inni pasterze, i tak przez cały ciąg swojej kampanji letniej prawie się obywał bez spoczynku.

Dopiero jesienią twardą, gdy tabun swój zdał na zimowlę, grosze, chleby, kiełbasy skrzętnie odebrał, Niechoczka znosił to wszystko do jednej chaty, którą sobie na zimowe leże obrał, tam oddawał gospodyni swe zapasy i — pozostawał do wiosny. Lokator nie był kłopotliwy i kosztowny, więc chętnie go każdy przyjmował.

Przeważną część zimowego czasu Niechoczka przesypiał, w przerwach jadł i drzemał. Robić nic nie chciał — nawet wody ze studni o parę kroków nie przyniósł, drew nie urąbał.

Tracił też swój humor i fantazję, był osowiały i milczący, na nic i na nikogo nie uważał, niczem się nie interesował. Gdy raz zapaliła się we wsi stodoła i ludzie rzucili się do ratunku, a baby do lamentu, Niechoczka, rozbudzony, tylko coś zamruczał, przeciągnął się, na drugi bok się obrócił i dalej spał. Byłby się spalił niechybnie, żeby pożaru nie umiejscowiono.

Dopiero po Gromnicznej, Niechoczka jakby swoje odespał, poczynał wychodzić na podwórze, rozglądać się, węszyć, nasłuchiwać, macać pączki na drzewach. Poczynał też chodzić od chaty do chaty, ale go nie

zajmowali ludzie — dowiadywał się o swój „naród". Zaglądał do chlewków i obórek, oglądał zarodową młódź owczą i prosięta, obżałowywał z gospodyniami osobniki przepadłe, interesował się handlami i sprzedażami, i ledwie śnieg znikł, szedł w pole oglądać tegoroczne pastwisko, jakby teren swej przyszłej kampanji. Wtedy też sprawiał sobie nową odzież, zawzięcie plótł baty, odzyskiwał swój dobry humor i podrygujący truchcik.

W owym też czasie, pewnego roku, gdy miał lat dwadzieścia kilka, gruchnęła po wsi wieść niesłychana, że Niechoczka „chodzi" za jedną dziewczyną. Było z tego śmiechu i żartów coniemiara — ale naprawdę Niechoczka za dziewczyną łaził, do jej chaty wstępował i łakomie jej się przyglądał.

— Co, spodobała ci się Nastka? — pytano ze śmiechem.

Śmiał się i on, głową kręcąc i cmokając.

— Aj — jaka u niej kosa długa i miękka! — mówił.

Wypadek skończył się tragikomicznie.

Pewnej nocy powstał wrzask okropny w komorze, gdzie dziewczyna sypiała, szamotanie, razy, przekleństwa, lament. Okazało

się, że Niechoczka do komory się zakradł, śpiącej obciął połowę warkocza i zemknął. Cały jego zachwyt i pożądanie był ten kosmyk włosów na „pękawkę“ do bata. Chciano go za to obić, ale narazie nie złapano, a potem złość odeszła. Co chcieć od „głupiego“? Dziewczynę tylko na wiek wieków przezwano „owieczką“.

Do rodzicielskiej chaty Niechoczka wstępował tylko wtedy, gdy wypadał mu tam zkolei wikt pastuszy.

Matka stara jeszcze żyła, za każdym razem mu wymyślała i wyrzekała na wstyd, jaki im czyni. Brata wójta rzadko kiedy widywał, bratowa przytakiwała matce. Niechoczka jadł i słuchał z takim lubym uśmiechem, jakby tłuste kluski i łajanie równie mu smakowały. Gdy miskę wypróżnił i nie bał się, że mu jadło odbiorą, brał za bat, chlebem napychał torbę — i już na progu odpowiadał po swojemu:

— Dosyć sokotać, sroki. Wy baby, owieczki, a ja starszyna nad wami. Mnie nikt nie pasł i pasać nie będzie. Ja bat mam i więcej narodu pod sobą — niż wójt. Moja wola będzie, nie wasza! Aha!

Co było z „głupim“ gadać?

Kolega Niechoczki w przezwisku, „głupi“ Choczka, był wcale inny. Po pierwsze gospodarzem był i na gruncie siedział, ale byłoż to gospodarstwo, że pożal się Boże. Najpierw starszy jego brat po śmierci ojca tak się z nim podzielił, że aż cała wieś się gorszyła i jak mogli buntowali „głupiego“. Ale co poradzić takiemu, który sam sobie jest wrogiem i nic nie rozumie, a gdy doń mówią, słucha, jakby nie słyszał, a gdy czego od niego chcą, o co proszą — to odpowiada: „chcesz — bierz“.

Brat go znał, więc gwałtem nie brał, tylko prosił. W ten sposób wyprosił z ojcowizny najlepsze zagonki, najlepsze bydło, najnowsze budynki. Choczka na wszystko się zgadzał:

— Chcesz — bierz!

Po dziale został mu na własność piaszczysty grunt pod cmentarzem, stara chałupa, chlewek walący się, a w nim stara klacz, cielę i parę owiec. Zresztą brat miał słuszność, bo o ten dobytek i o ziemię Choczka niebardzo dbał. Starą klacz kto chciał brał i używał — do chałupy wpraszała się na zimę i lato wszelaka nędza, w pole najzuchwalej worywali się sąsiedzi, owoce w sadzie

rabował i brał też kto chciał. Nie było wypadku, żeby Choczka komu co odmówił, z kim się pogniewał, o własność swą się upomniał.

Przy takiej gospodarce dawnoby z głodu umarł, żeby nie rzemiosło i jakiś dziwny dowcip do wszelakiej majsterki. Czy się młyn popsuł, czy tkacki warsztat, ludzie wołali Choczkę. Żeby najpilniejszą miał swoją robotę — szedł na wezwanie, popatrzał, podumał i wnet zaradził. Buty też szył dla całej wsi, i jakie buty! Zresztą na przeciwieństwo Niechoczki, pracowity był niesłychanie, tylko, że z tej pracowitości żadnej dla siebie nie miał korzyści. Swojego jakby nie widział.

Zdarzało się, że gdy na swojem polu robił, a zobaczył, że jaki sąsiad nie może dać rady niesfornym wołom, to rzucał swój pług i szedł do onego.

— Nie swarz się, nie bij byków, ja je przeprowadzę — mówił i choćby cały dzień gotów był woły wodzić.

Nie mógł słuchać bicia, krzyku i łajania — wtedy stawał i drętwiał, trząsł się ze strachu, choć bojaźliwym i słabym nie był.

Raz, gdy pies wściekły wpadł do wsi i wszyscy przed nim zmykali, Choczka pierwszy go dopadł i utłukł; innym razem w pożarze — w płomienie szedł, żeby wyratować cielaka. Tylko się strasznie bał złości ludzkiej.

Młódź urządzała sobie przedstawienia z tego lęku „głupiego". Bili się i klęli, żeby zobaczyć jego zgrozę i wydrwić potem. Wyzyskiwano go też i oszukiwano na wszystkie sposoby, ale nikt nie mógł się pochwalić, żeby Choczkę wyprowadził ze spokoju i łagodności. Może był za głupi, żeby zrozumieć, iż go krzywdzą, może często nie uważał, nie słyszał.

Choczka był milczący i jakby głuchy. Ręce pracowały ciągle, ale oczy miał mgławe, rysy twarzy tępe i martwe. Gdy doń zagadano znienacka, budził się jakby z półsnu, i chwilę się orjentował, gdzie jest i czego od niego chcą. Bywało też, że wśród roboty nagle ustawał, opuszczał ręce i zapatrzony w jeden punkt, przesiedział bezczynnie długi czas. Potem, jakby się ocknął, jeszcze pilniej brał się do roboty. Zdarzało się, że go to „chwyciło" przy pługu w polu. Wtedy klacz stara stawała także i oracz nie-

ruchomy, z rękami opartemi na rączkach narzędzia, patrzał w błękitną dal powietrza, jakby czegoś słuchał. A ludzie, patrzący nań, mówili:

— Głupi Choczka skowronki liczy!

Izba Choczki, pusta latem, zimą stawała się przytułkiem wszelakiego tałatajstwa i biedy.

Jedni się wpraszali, inni lokowali się bez pytania nawet. Zwykle jakaś energiczniejsza baba brała na siebie obowiązki gospodyni, a wszyscy czerpali z komory gospodarza bez zbytnich skrupułów. Poco się skrupulizować, kiedy Choczka każdemu był rad i każdego nowoprzybywającego witał, jakby rodzonego.

To też utarło się we wsi przysłowie dla wdów, dla starych dziadów i bab, dla chorych, którzy ciężyli rodzinom:

— Do Choczki tobie pora iść!

Cała ta czereda napełniała izbę po brzegi, ale zachowywała się spokojnie, bo Choczka nie znosił swarów, i pod tym jednym względem — w chacie swej umiał rygor utrzymać.

— Chcesz — jedz, pij, śpij, grzej się — tylko się nie swarz!

To był jego regulamin.

Wśród tego grona, co zimy znajdowała się i Dreptucha, żebraczka-włóczęga i ona to — ożeniła Choczkę.

Byłoż to i małżeństwo — w sam raz dla „głupiego".

Raz w adwencie, nocą, wlazła do izby dziewczyna. Sina była z zimna, prawie naga i wygłodzona. Poznali ją lokatorowie Choczki, pochodziła z sąsiedniej wsi. Od dziecka była ladaco, próżniak i rozpustna, że nikt jej nie chciał trzymać, więc sługiwała Żydom w miasteczku.

Była w ogólnej poniewierce i ohydzie, tak, że lokatorowie Choczki jednogłośnie zdecydowali by ją wypędzić. Wszyscy oprócz Dreptuchy. Wywiązała się kłótnia i wrzawa, tem swobodniejsza, że gospodarz był nieobecny, odbywał jakąś obowiązkową służbę w gminie i Dreptucha zwojowała innych.

Gdy Choczka wrócił, wytoczono sprawę przed niego. Okazało się, że dziewczynę, jako brzemienną, wygnali Żydzi ze służby — wygnała rodzina, wyganiali wszyscy, do kogo się wpraszała, i wygnać chcieli domownicy przygodni Choczki.

On się tem bardzo zafrasował i zaturbował.

— To jakże — rzekł po namyśle — kiedy teraz zima idzie? Zwierzę rodzi małe na wiosnę — jak do ciepła idzie — a ona i tego rozumu nie ma. Co robić — musi zostać.

— A co? Nie mówiłam ja? — wrzasnęła Dreptucha.

— Wiadomo — jednakie wy głupie! — zamruczała jednogłośnie drużyna, ale się musieli poddać i znosić przybłędę.

Po paru tygodniach grono lokatorów powiększyło się o jednego członka. Choczka wyprawił chrzciny, kupił matce spódnicę i siermięgę. W poście dziecko umarło, wyprawił mu pogrzeb, ale matka została — dopiero wśród lata kędyś w świat sobie poszła.

Ale na jesieni pierwsza się zjawiła na zimowe leże i objęła rolę gospodyni chatnej.

Niewiadomo, jakich użyła sposobów na Choczkę — ale przed Zapustami wziął z nią ślub.

Dla lokatorów nastały złe czasy, rozpędziła wszystkich, z sąsiadami rozpoczęła kłótnię — z mężem krótko też trwała zgo-

da. Chciała go namówić do procesu z bratem, judziła go na sąsiadów, zabraniała świadczyć usługi, odebrała mu wolę. Jednakże nie potrafiła rozumu mu dać, choć pozornie jej ulegał — ani sprawy nie rozpoczął, ani złe słowo komu rzekł. Nie można było wyrozumieć, co myśli i co robi. Mniemali jedni, że przecie baba swoje przeprze — myśleli drudzy, że ona przecie jedna wyprowadzi Choczkę z cierpliwości — i że ją kijem do porządku przywróci. Ale czy kto zdoła zgadnąć, co taki głupi wykombinuje?

Z wiosną stał się dziw we wsi. Choczka pole na rok sąsiadowi wydzierżawił, bydło sprzedał—i gdzieś przepadł. Baba zgłupiała. Jakiś czas posiedziała w chacie, a wreszcie zmierziła sobie drwiny całej wsi, zabrała z komory, co było, wystroiła się i poszła na służbę — do okolicznego dzierżawcy.

Choczka gdzieś niedaleko się ukrył, bo ledwie to się stało — do chaty wrócił.

Teraz zkolei drwiono z niego — pozwalał, nie bronił się, z dobrotliwym spokojem mówił:

— Chcesz — śmiej się! Pośmiać się trzeba.

Ale on sam nigdy się nie śmiał, a coraz częściej się zamyślał i coraz dłużej trwał w odrętwieniu. O żonę się wcale nie dowiadywał, słyszał tylko od ludzi, że była w szczególnych łaskach u swego chlebodawcy i klęła Choczkę, że jej na drodze stoi do świetnego małżeństwa.

Żebraczka Dreptucha nie była „głupią“ i włóczęgą całe życie. Zamłodu dobrze jej się wiodło — była z bogatej chaty i bogato zamąż poszła. Potem z nieszczęść rozum jej się pomieszał. Mąż umarł z gorączki, a potem i dwoje dzieci pochowała. Z tego czas jakiś jakby obłąkaną była. Mężowscy bracia zajęli grunt i osadę, a baba zaczęła chodzić po świecie i nie turbowała ich pretensjami.

Nie wiedzieć skąd, nauczyła się w chorobach radzić i szczególnie lubiła chorych pielęgnować, a już najbardziej dzieci. Żeby nie była „głupia“, każdyby ją przygarnął i utrzymywał, ale miewała ataki „duru“ — i wtedy szła przed siebie, gadając niestworzone rzeczy i bluźnierstwa.

Nie mogła zapomnieć męża i dzieci, i gdy ją ten szał opadł, zdawało jej się, że śmierć złowi i udusi, że się pomści na niej!

Po takim ataku padała na ziemię i leżała, zrazu jęcząc i wyjąc, potem znużona — jak martwa.

Mówiono też, że kradnie — nie dla siebie — ot, jak głupia, wzięła w jednej chacie, zaniosła do drugiej, a gdy ją złapano na gorącym uczynku, tłumaczyła się — jak głupia:

— U was tego dużo, a u tamtych wcale niema. Niech i oni mają.

Bito ją czasem za to, ale nikt do sądu nie zaskarżał, a gdy co w chacie przepadło, mówiono zwykle:

— Dreptucha była — pewnie schwyciła.

Ona się też bardzo nie zapierała, gdy ją badano. Uśmiechała się, przymrużając oczy:

— Może i wzięłam. To co? Nie bójcie się — sytemu i bogatemu nie zaniosłam, sama nie zjadłam. Ot, poprzędę wam za to — odrobię. Co tam!

Tych troje „głupich“ wioskowych mało się znali ze sobą i rzadko się spotykali.

Raz przecie Choczka, przed Zielonemi Świętami, szedł naprzełaj polem do sąsiedniej wsi i niósł na plecach parę nowych butów, a w ręku skrzypce. Na pagórku, jak żóraw, stał Niechoczka. Podrygiwał i gwi-

zdał, zapatrzony w pasącą się swą trzodę. Zeszli się i zagadali do siebie.

— Nie masz wody w dzbanku? — spytał Choczka, ocierając pot z czoła.

— Jeszczebym czerep miał, żeby mi się tłukł i zawadzał. Brakuje to wody w rowie?

— Bo i prawda! — zgodził się Choczka, poszedł, gdzie mu pasterz batem wskazał, napił się i wrócił.

Na pagórku siadł i począł się rozglądać.

— Lubo tu na łąkach! — rzekł.

— To dziwo? — dumnie zadarł Niechoczka głowę — nigdzie tak lubo, jak u mnie!

Potem obejrzał gościa i rzekł:

— To musi być śmiesznie w butach chodzić.

— Nie masz butów?

— Nie nadumał się jeszcze kupić.

— Chcesz, to sobie weź!

Niechoczka siadł na ziemi i wzuł buty. Potem się zastanowił i spytał:

— A ile za to trzeba zapłacić?

— At, co tam! Tylem miał kożuchów z tych moich owiec, co je pasiesz — to znoś darmo te buty.

Niechoczka przyglądał się swoim nogom i śmiał się — potem stanął, spróbował cho-

dzić, a raczej dreptać i podskakiwać po swojemu, i skrzywił się.

— Paskudztwo — zdecydował. — Ciężko, ciasno, gorąco, twardo. Nie, nie chcę!

I zrzucił buty.

W tem się znów ukazało, że był równie głupi jak Choczka, bo z jego głupoty on jeden jedyny nie skorzystał.

Pozostali na pagórku. Choczka zapatrzył się przed siebie i zadumał, pasterz niedługo jednak w spokoju się utrzymał. Obiegł swą trzodę, parę razy z bata palnął i, wróciwszy, spytał:

— A gdzie ty ze skrzypką idziesz?

Nie otrzymując odpowiedzi, trącił zamyślonego.

— Co ty? Zasnął?

— Nie, tak sobie słucham.

— Aha, grają muzykanty. A może ty zagrasz?

Choczka wziął skrzypce, spróbował i przestał.

— Czegoś wstydno pod niebem grać. W chacie, na weselu, to pasuje — a tutaj — jakoś nie!

— Tak i prawda! — potwierdził Niechoczka.

Głupi głupiego zrozumiał — jakżeby nie.

Dreptucha znała też Niechoczkę. Znalazł ją raz w błocie, gdzie upadła w ataku swej choroby.

Wyciągnął ją z kałuży i ocucił, tarzając po trawie.

Baba mu dała ziół od febry i nauczyła, gdzie rosną. Potem jęła go wypytywać, jak żyje i okazało się, że jest mu jakąś „ciotką". Odtąd zachodziła do niego latem na łąki, zimą do chaty, gdzie mieszkał i umiała go przekonać, że powinien jej dawać zarobione pieniądze. Niechoczka z nawyknienia mówił: — Nie chcę — nie dam — ale dawał, i baba głupia roznosiła je po świecie, rozdając byle komu, nieznanemu, obcemu — byle biednemu. Gdy drwiono z tego i buntowano na nią Niechoczkę, wpadał w złość i urągał:

— A wy swoje komu dajecie? na co? Czemu nie trzymacie, nie zbieracie! Ja daję — bo taka moja ochota, a wy dajecie — bo wasz taki mus! Wy sami świnie i owce, ale takie, że jabym was pasać nie chciał! Aha!

I wszyscy oni troje, jak głupio żyli, tak głupio i pomarli. Pierwsza była Dreptucha. Napadła na nią zwykła choroba, pognała

w świat, by złapać i zdusić śmierć, a śmierć ją dogoniła i ledwie lekko palcem ujęła, a już było po babie.

Zimą to się stało, na leśnej drodze, w nocy.

Znaleźli ludzie trupa, na kamień zmarzłego, przywieźli do wsi. Chcieli go zwalić krewnym, do chaty, ale ci usunęli się od przyjęcia. Zaczęły się stąd na ulicy swary i krzyki, zbiegli się ludzie na widowisko — już chcieli babę do gminy odstawić, ale „głupi" Choczka się ofiarował, że ją do chaty przyjmie i pogrzebie. Tak się też stało. No, i okazało się, że „głupi" z sobą trzymają, bo w nocy, gdy baba leżała na ławie, a Choczka trumnę zbijał — przyszedł Niechoczka i przyniósł sakwę miedziaków.

— Na, ja jej obiecał żywej, to daj umarłej.

Potem na umarłą popatrzał i dodał głośno, jakby mówił do głuchego:

— Słysz, babo, i patrzaj — oddałem! Żebyś mi nie łaziła po śmierci!

I poszedł sobie.

Po babie przyszła kolej na Niechoczkę.

W samo lato — pewnego ranka, gwałt się podniósł we wsi, że owce i świnie jak

błędne snuły się po ulicy, choć słońce zeszło. Było to coś niesłychanego.

— Gdzie „głupi“? Co się stało? Zaspał, szelma! Świnie szkodę robią! Szukajcie „głupiego“.

Znaleziono go pod przyzbą chaty, w której z wieczora jadł. Leżał skulony, trząsł się i czarne miał usta.

— Wstawaj! Zabieraj czeredę!

— Nie chcę! Nie będę! — odpowiedział jakimś sennym głosem.

Wszystkie baby osłupiały. Okazało się, że był niezbędny. Zaczęto wypytywać troskliwie, co mu jest.

— Nie wiem! Nie chcę ni wstać, ni paść!

— Niechoczka, duszko, kotku, sokole! Co ty! Zdurzał? Jakże czereda zostanie? Zmóż się, rozbudź — posłuchaj nas — wygoń choć ten jeden raz. Toż ci nikt nie kazał, sam się zgodziłeś. Może ty chory? Może ciebie do chaty zanieść? Może tobie wódki dać?

Dano mu wódki. Wypił i dźwignął się.

— Nu, popędzę! Nie sokoczcie mi nad głową, sroki.

Zebrał swą trzodę i pognał, ale szedł wolno, nie krzyczał, z bata nie palił.

Wieczorem trzoda wróciła bez Niechoczki. Ktoś mówił, że go widział u kołowrotu wsi — wpędzał tabun na ulicę, a sam na łąki zawrócił; inni dowodzili, że owce same przybiegły.

Nazajutrz nigdzie Niechoczki nie znaleziono — musiano szukać innego pasterza, nikt się nie zgadzał, bo czas był roboczy. Ledwie z trudem zdano trzodę w opiekę dwojga dzieci, ale takie to było pasanie — ciągłe szkody i zguby. O nikim tyle nie gadano we wsi, jak o „głupim". Jedni go żałowali, drudzy klęli, a wszyscy byli ciekawi, coby się z nim stało. Człowiek przecież nie może zginąć jak kot lub pies.

A przecież Niechoczkę znaleziono tylko wypadkiem.

Za wiejskiemi polami i łąkami były góry piaszczyste, nagie, tylko kilka krzywych sosenek, w krzaki rozpełzłych, tam sterczało.

Nikt tam nie chodził, bo i poco? Nic tam nie żyło, ani rosło, ani się lęgło. Otóż raz chłop tam zaszedł, żeby wyrąbać sosenkę i zobaczył stare, opuszczone oddawna lisie nory. Było dużo wylotów piaskiem prawie zaniesionych — a z głównego, najszerszego,

coś wystawało. Chłop się zbliżył i przestraszył — była to głowa ludzka i tors do pasa, nogi wsunięte były w jamę. Piasek, gnany wiatrem, do połowy ciało przysypał. Trup leżał na boku, z rękoma zwiniętemi na piersi — jakby spał. Dawno już leżał, rozłożył się, zgnił, potem zesechł, tylko czaszka świeciła i odzież zachowała kształty. Niktby nie poznał, ktoby to był, żeby nie bat, nie torba od chleba i nie dziurawy kapelusz — znajoma całej wsi liberja Niechoczki.

Z pół roku już leżał, bo go chłop znalazł w listopadzie. Zawiadomił wieś i wójta. Był to nowy wstyd i hańba dla rodziny. Postanowiono przecie go stamtąd zabrać i pochować, ale nazajutrz spadł okrutny śnieg i leżał miesiąc. Przez ten czas ludzie się nagadali o Niechoczce — brat niby to jeździł zwłok szukać i nie odnalazł, ludzie zapomnieli, a potem, po zimie — naprawdę nie mogli odszukać.

Musiały lisy i wilki głodne rozwlec kości i szmaty — i tak się skończyło, że w bajkę obrócono opowiadanie owego chłopa.

Został na całą wieś jeden głupi, ale i ten starości nie dożył. Jakoś w parę lat po zniknięciu świniopasa, znowu w same żniwa,

gruchnęła po wsi nowina, że do Choczki żona wróciła.

Prawda to była — wróciła wystrojona, tłusta, biała, wykarmiona na dworskim chlebie.

Jak tam się oni pogodzili, to nikt nie wiedział, ale nazajutrz razem we dwoje poszli do żniwa i wyglądali, jakby się nigdy nie kłócili.

Choczka jej żałował, męczyć się nie dawał — wodę ze studni do chaty nosił, we wszystkiem wyręczał. Taki głupi był, że się cieszył z tego powrotu.

Pożęli żyto i jare zboże, już do kartofli kopania się ludzie brali, gdy Choczka zachorzał. Baba podniosła lament na całą wieś, zwołała, ile było znających bab i znachorów — poili go i okurzali, tarli i smarowali, pewnieby nawet pomogli, gdyby nie to, że już o zachodzie słońca przestał mówić i jęczeć — zapatrzył się po swojemu w zorze czerwone i już nie chciał pić, ani odpowiadał na pytania. Leżał, rękoma piersi cisnął, a od tego blasku, co mu oczy raził, aż łzy ciekły. A potem powieki zawarł, mocno odetchnął i choć go wodą oblewali, gorącym popiołem serce grzali, już nie ożywili.

Baba z desperacji od zmysłów odchodziła, na pogrzebie zawodziła tak, że aż wszyscy płakali, ale Choczka jak umarł, tak leżał!

Potem baba z bratem układ zrobiła. Nie była łapczywą, w zgodzie się rozstała — on sam ją znowu do dzierżawcy odwiózł. Powiodło się babie — na jesieni ślub wzięli — wyszła na panią.

Wszystko tałatajstwo, co zwykle zimowało u Choczki, gadało, że ona go otruła, ale ktoby tego słuchał i wierzył. Wiadomo — złość mieli, bo im się urwało zimowanie, i zaraz tejże zimy parę tego starocia zmarło, a reszta tułała się od chaty do chaty, co zaś silniejsze, na żebry poszło.

Nie dziw, że pomstowali na babę — nawet i taka nędza żyć chce i gdzie do ciepłego kąta się przytulić.

Tak oto nie stało „głupich" we wsi. Ludzie jednak ich często wspominali i to dziw, że jakoś bez kpiny, a jakby dziwując się i żałując.

Czegoś wraz z nimi zabrakło. Chłopi nie wiedzieli czego, boć świnie i owce miały innego pasterza, i szewc, i muzykant zna-

lazł się inny, a bab-włóczęgów też bez Dreptuchy nie brakło.

Tamci jacyś inni byli — może dlatego, że „głupi“, a może dla czego innego, czego chłopi nie mogli pojąć, ani lepiej określić.

Widać, że i „głupi“ na świecie potrzebni . . .

CIOTKA

Zebranie koleżeńskie po dwudziestu latach. Dwadzieścia lat takich, od szkolnej ławy do czterdziestki — toć i całe życie. Co miało życie dać, nauczyć, co miało wziąć, co miało zniszczyć — wszystko w tej dwudziestce będzie. Bilans zrobić można!

Przedewszystkiem obrachunek członków. Było trzydzieści pięć młodych dziewcząt wtedy — teraz stanęło piętnaście. Gdzie reszta?

Jest parę depesz, tłumaczących nieobecność niemożliwością przybycia, — daleka droga, choroba, stosunki rodzinne, — kilka i tego nie uczyniło — „zapomniały“ — ktoś mówi, „nie dbają“ — inna dorzuca. Reszta odeszła w grób. Wspominki idą o nich — żal, opowieści zasłyszane o doli; któraś kończy niemieckiem, nie dającem się lepiej wyrazić:

— Verschollen!

A ktoś podchwytuje spokojnie:

— Kto verschollen? One? A my?

Patrzą po sobie i czyni się milczenie.

Istotnie kto rozbitkiem? Te zmarłe, czy te żywe? W tych piętnastu czterdziestoletnich kobietach są wszystkie typy. Są elegantki dostatnie, udające jeszcze młodość i wdzięki, śmiejące się za wesoło — jedne, bo nie myślą, inne, bo wyobrażają sobie, że je tak widzą, jak one chcą się przedstawić. Są matki i mężatki, dumne ze swego stanowiska. Są wdowy, obarczone dziećmi, znękane i wyczerpane. Są stare panny zgorzkniałe, chore. Są sterane pracą zawodową nauczycielki, są fanatyczki feminizmu, o oczach gorejących, a poradlonych, zmiętych, jakby skwarem spalonych, twarzach. Są włosy czernione i wszelkie odcienie siwizny, są postacie zatyłe potwornie i wychudzone na suchy badyl, są oczy zgasłe, lub tlące złym ogniem histerji, są zmarszczki śmieszne i tragiczne, i wszelkie odcienie brzydoty lat czterdziestu, od upudrowanej maski — do barwy i zwiędnienia liścia opadającego.

Patrzą po sobie i w duchu każdy mówi o każdej:

— Jakże zbrzydła, zestarzała!

Żadna nie podniosła refleksyj. Zaczynają gwarzyć — atmosfera się ociepla, przychodzą zwierzenia, trochę blagi, chwalą się, więcej narzekają — powoli pogwar przechodzi w autobiografję.

Mężatki wiodą rej w rozmowie. Już się skupiły, już opowiadają sobie poufnie domowe życie i stosunki, choroby, drożyznę życia, trudności szkolne, wstrętne nowe prądy wśród młodzieży, zanik posłuszeństwa dzieci, lekceważenie rodziców i tradycji, trudność wydania zamąż córek. Zapominają, że przecie chwaliły swój los — nikną udane uśmiechy i blaga — jest to litanja skarg — obraz życia ciasnego, materjalizmu i powszedniości jakiejś, apatji, bierności, nudy!

— Verschollen! — odzywa się głos spokojny.

To ta, co rzuciła refleksję: kto rozbitek?

Spojrzałam na nią. Stała pod lampą wiszącą, założywszy ręce na piersi, słuchająca, uważna, a mało dotąd mówiła.

Od szkolnej ławy ją pamiętam: jej brzydotę już nawet nie pospolitą, ale taką, którą się na zawsze zapamięta, jej niefrasobliwy humor, i dobre koleżeństwo.

Z tych wszystkich ona jedna najmniej się zmieniła — nie mogła zbrzydnąć, a zachowała tę dawną niefrasobliwość. Zestarzała, rozumie się, ale inaczej, jak tamte. W świetle lampy srebrzyły się włosy bujne, niedbale skręcone, ramiona były szerokie, formy grube, ale pełne siły. Powieki były już ciężkie, ale z pod nich świeciły źrenice śmiało, prosto, wesoło. Uśmiechały się usta z dawnym niedbałym humorem.

— Ciotka! — zaśmiałam się i ja, zarażona.

Takeśmy ją zwali w szkole — przezwisko uczynione z tego, że tę jakąś ciotkę miała zawsze na ustach.

Nikt nie wiedział o jej rodzicach i rodzeństwie, nie opowiadała o domu i stosunkach — tylko zawsze: co ciotka powie, co ciotka pisała, co ciotka poradzi.

Spojrzała na mnie, potem po wszystkich, i ozwała się głośno:

— Słuchajcie no, koleżanki. Otośmy życie przeżyły i nie lekkie było. Przecie szczęście być musiało w doli. Ja proponuję, żeby każda powiedziała, jak ono się nazywało.

— Szczęście! — podniosło się kilka szyderczych głosów. — Szczęście to niedotknię-

cie do rzeczywistości. O tem roją pensjonarki — i tyle!

— Ejże — nie bluźnijcie. Szczęścia pełen świat.

— Gdzie? Jak? Przecie nie dla kobiety niewolnicy!

— Nie dla pracującej na chleb powszedni.

— Nie dla żony i matki, obarczonej obowiązkami.

— Nie dla pozbawionej opieki wdowy!

Każda energicznie, z oburzeniem protestowała.

— Nie udawajże ty i nie wmawiaj w nas, żeś ty taka szczęśliwa.

— Nie wolno mi!

— Kobieta, która zostanie samotną, jak ty, nie może czuć się zadowoloną i szczęśliwą.

— A przecież wy nie samotne — powiadacie, że szczęście nie dla żony i matki, obarczonej obowiązkami.

— To co innego. Nie zrozumiesz naszych rozkoszy macierzyństwa.

— A skądże wy macie rozumieć moje rozkosze? Ja szczerze, otwarcie przyznaję się do szczęścia, bo je odczuwam i posiadam.

— Samotność jest straszną rzeczą! Pustka! Zimno! Tylko egoiści mogą się w tem czuć szczęśliwi — westchnęła któraś ze starych panien.

— Kobieta, jeśli się czuje człowiekiem, przechodzi piekło, patrząc, czując, widząc naokoło krzywdę, ucisk, wyzysk i poniewierkę sobie podobnych.

— Jeśli kobieta człowiek — to nie sobie podobnych widzi poniewierkę. Kto człowiekiem być chce, być umie i jest — taka się poniewierce nie da!

— Frazesy, słowa! Życie inaczej twierdzi.

— Co jest życie?

— Bagno, w którem się duch ubabrze lub utopi.

— Nieprawda! — zaprzeczyła „Ciotka", a oczy jej strzeliły ogniem. — Życie jest zdrojem, który ludzie zabagnili gnuśnością i egoizmem. Teraz możni — kładki dla siebie na niem ścielą i przechodzą, odwracając oczy od topieli, lub je mrużąc, bo im strach i wstyd. A nie możni — babrzą się, chorują od wyziewów, klną — i płytkie studzienki kopią do picia! A słabych zalewa szlam i giną! A źródło w głębi jest!

— A to źródło jak nazywasz?

— Miłowanie!

Poszedł pomruk:

— Oklepany frazes! Utopja! Mrzonka!

Mężatki poczęły się uśmiechać.

— Słuchajno, „Ciotka“ — rzekła złośliwie jedna. — Wy wszystkie niezamężne wojujecie tem słowem. My coś wiemy o tem, jak to miłowanie wygląda w praktyce. Wy jesteście jako te Nimfy, co karmią Chimerę!

„Ciotka“ zaczęła się śmiać.

— A wy: żony, matki negujecie miłość? Nie kochacie męża? dzieci? wleczecie życie, jak galernik kulę? Więc wy zabagniłyście zdrój rodzinnego życia.

— Nie my! Nie one! Mężczyźni! Mężczyźni! — powstał już ogólny chór. Zaledwie parę milczało.

— Patrzcie! Co się namnożyło feministek! — śmiała się „Ciotka“. — A wiecie, kogo mi żal? Tych waszych mężów właśnie. Jakie zimne, puste, próżne i nudne muszą być te gniazda wasze, jeśli oni z nich uchodzą. Jakie wy nieznośne, kiedy was opuszczają. Widzę w myśli wasze sceny zazdrości i spazmy, lub milczące odęcia, wasze flądrowate negliże, wasze narzekania na

służbę i dzieci, wasze nieuctwo w pedagogji i higjenie, wasze ciągłe cherlanie, waszą pasję do zalotności z innymi, ploteczki i obmowę i wasze próżniactwo umysłowe.

A zresztą poprzysięgam wam: powiedzcie — czyście szły zamąż miłujące, czyście znały tego, z kim przysięgałyście życie przepracować — czy też szłyście dla wygody, dla stanowiska, dla spokoju, dla tak zwanego zapewnienia losu; czyli, że mu dacie siebie — za utrzymanie, żeby używać i próżnować, i o bycie nie myśleć. Darujcie, taką dostawszy i tyle — mężczyzna krótko będzie rad. Ścisły jego umysł uczyni wprędce rachunek — i da wam w najlepszym razie to, o co wam w gruncie chodziło! Potępiajcie go, jeśliście bez winy!

Zgromadzenie przyjęło to obrażonem milczeniem i szeptami. Kilka wstało i zaczęło się żegnać.

— Proszę ciebie! Mówisz jak ślepy o kolorach — nie można dysputować z kimś, który wcale żadnej nie miał miłości w życiu! — rzekła jedna lekceważąco.

„Ciotka“ rozplotła ręce i, oparłszy je na stole, przechyliła się do mówiącej, — twarz jej się mieniła.

— Ja nie znam miłości — ja! Dlatego, żem nie miała męża i dzieci! Kobieto! biednaś ty! Więc i ty nic więcej — i innej nie znałaś!

— A ty, prawda, kochałaś ciotkę! — ktoś ironicznie podchwycił.

„Ciotka“ zwróciła się do siedzących opodal trzech.

— Słyszycie to i milczycie — wy, co walczycie dla kobiet o równe prawa. Toć one ciskają wam obelgę, toć nie mężczyźni, ale one ideę waszą podkopują. Toć one dowodzą, że nie potrafią utrzymać domowego szczęścia i miłości w rodzinie, a negują miłowaniu innemu. Więc one nie wiedzą, że można miłować bliźniego i kraj, sierotę i zbrodniarza, kobietę nieznaną i każdego mężczyznę z jednem pożądaniem — by razem bagno przekopać aż do zdroju, co daje wesele bez pijaństwa, szczęście bez samolubstwa, życie — bez strachu śmierci!

A oto ja wam powiadam, że jałowa będzie wasza praca i próżny wasz zapał, póki tych nie uczynicie ludźmi!

A co do mnie — zaprzeczam wam prawa mnie sądzić, bom właśnie szczęśliwa i miłująca, a jeślim taka — to ciotce zawdzięczam.

Tej ciotce, co mnie wiodła przez życie i uczyniła mi je promiennem — aż po grób. Byście ją miały — i wy byłybyście inne.

Wyprostowała się i spojrzała już serdecznie.

— Zezłościłam was! Wybaczcie! Gorącość już mam taką — bo mi was żal — taki straszny. Żebyście wiedziały, jak mnie dobrze!

Zaczęła się żegnać.

— To już chyba na zawsze! — rzekła smutnie któraś. — Po dwudziestu jeszcze latach nie zostanie nikt z nas.

— Ha, trudno — miniemy! Byle zostało *coś* z nas. Bez śladu dobrego minąć — nie daj Boże. Ale spocząć jak spracowany robotnik — dobra rzecz.

— Pójdę z tobą! — rzekłam. — Zaraz odjeżdżasz?

— Idę na dworzec. Chodź! Pogadamy!

Wyszłyśmy.

— Słuchajno! Zapoznaj mnie z tą swoją ciotką. Gdzie ona? Jak się nazywa?

— Zofja! Zapoznać trudno. Mieszka to tu, to tam. Jak się kiedy trafi, a będziesz u mnie, to cię do niej zaprowadzę! A chcesz ją przedtem poznać — przyślę ci

moje notatki z różnych z nią rozmów. Chcesz — skorzystaj sama, chcesz — pokaż je tamtym — takim biednym!

— Naprawdę — przyślesz?

— Słowo! Dostaniesz za tydzień.

Byłyśmy na dworcu. Gdy pociąg ruszał — uścisnęłyśmy dłonie bardzo serdecznie.

— Czekam! — zawołałam.

— Dostaniesz! — odparła. — Daj im przeczytać!

LAMUS

W ogrodzie dworskim — na uboczu, w chmielach, stał odwieczny dziwaczny budynek.

Spód miał z bali sosnowych, grubych, żywicznych, przeciętych maluchnemi, okratowanemi okienkami, mocno podobnemi do strzelnic. Drzwi były dębowe, opatrzone zamkiem i ryglami i sztabą zasunięte. Belki wystawały na parę łokci i tworzyły podsienie oparte na wycinanych toporem misternie słupach, na tych belkach leżała podłoga pięterka. Bo było i piętro — uczynione jak wielka klatka, przykryta dachem z oczeretu i zakończona blaszaną chorągiewką, na której był wycięty rok 1737. Na pięterko wchodziło się po schodach z dolnej galerji i gospodarzył tam ogrodnik i klucznica, gdyż w przewiewnej salce był skład narzędzi i spiżarnia; klucz od dębowych drzwi był zawsze u samego starego pana. Budynek ten, zabytek drewnianej architektury, zwano lamusem.

We dworze zmieniło się wszystko, ludzie i rzeczy.

Były pożary, klęski, przychodziły zmiany stosunków i warunków — przebudowano gumna i obory, czworaki, oficyny, dom mieszkalny — tylko lamus trwał. Żywica, bursztynową patyną pokryła ściany, dębowe drzwi sczerniały, słupy były podparte, dach zielony od mchów — ale zresztą staruszek był krzepki. Stary pan go pilnował troskliwie. Któregoś roku burza zerwała chorągiewkę; miano zatknąć nową — ale z wiosną, bocian, spędzony ze stodoły, którą pokryto dachówką, tam się zagnieździł, więc go nie rugowano, a datę dłótem wyrżnięto nad drzwiami.

Stary pan dzieckiem bawił się w tym ogrodzie, gospodarzył w tym dworze, potem ustąpił dwór bratu, sam osiadł w majątku żony, potem i stamtąd ustąpić musiał — „wojażował“ jak mawiał, do kirgizów. Żonę i dzieci brat zabrał. Gdy „wojażer“ do kraju powrócił — brata już nie zastał — umarł bezdzietnie.

Dzieci się wychowały i wykształciły. Dwóch synów służyło w Rosji — jeden został przy ojcu na ziemi. Córka wyszła za-

mąż do Warszawy, stary pan doczekał się wnuków siedmiorga. Sam jeszcze zdrów i krzepki — zostawił rządy synowi, do niczego się nie wtrącał. Chował pszczoły, karmił ryby w stawie, sad miłował — czytał — i na wnuki patrzał.

Wszyscy mu winszowali pociechy z dzieci. On, pykając fajeczkę, słuchał pochwał bez zapału.

— Pewnie, pewnie! — mawiał — syci są, rozumni, zrobili karjery tamci, ten majątek podwoił kulturą. Bydło ma, stodoły murowane, dreny, poręby. Ho, ho! Ludzie rozumiejący interes. Aż się dziwię, skąd tacy u mnie!

Nie można było się dorozumieć, czy go to cieszy, czy martwi.

Zresztą nigdy synowi w jego postępach rolnych nie sprzeciwiał się — i tylko raz spór mieli — właśnie o ten stary lamus.

— Trzebaby, ojcze, tę ruderę uprzątnąć — rzekł syn.

— Poco?

— Gorzelniaby tam miała najlepsze miejsce, bo staw blisko.

— Lamusa dla gorzelni ruszać nie dam.

— I poco ta rudera bez użytku? Żeby w nim chociażby lodownię zrobić, a tak — to tylko fantazja. A nam nie wolno fantazjami się rządzić, musimy fantazje przeszłości odrabiać.

— Niewiele miejsca lamus zajmuje. Jak już nigdzie nie będzie u ciebie na polu chwastu, to ci pozwolę go zwalić.

W jakiś czas potem synowa przypuściła szturm.

— Ten ojca lamus zakrywa widok na staw. Możeby go przenieść w ten kąt, gdzie węglarnia.

— Przenieś sobie dom do pięknego widoku, a lamus niech stoi, gdzie stał.

Stanowczo stary pan na punkcie lamusa był nieprzystępny rozumnym prośbom i projektom.

Myślałby kto, że trzymał w nim jakieś skarby, ale wnuki zbadały dawno, że skład to był starych gratów. Dzieci zaglądały często przez zakratowane okienka. Stały tam stare kufry, sprzęty połamane i zakurzone, leżało jakieś żelastwo — nic warte rupiecie.

Dzieci było troje: dwóch chłopców i dziewczyna. Póki to było małe, urwisowało i śmiało się ochoczo, a lgnęło do dziada,

który ich uczył pieśni i wierszy, opowiadał stare, straszne historje.

Gdy podrośli — do szkół ich wysłano, do gimnazjum w powiatowem dalekiem mieście, dziewczynę na pensję do Warszawy — wracali tylko na wakacje, pisywali rzadko, coraz gorszą polszczyzną. Donosili, że na „Maśnicę mieli rozwleczenie", że przejezdny kurator „miał do nich rzecz". Na wakacje przyjeżdżali wynędzniali, wylękli, mówili tylko o trudnościach nauki, o wybiegach, by się nie skompromitować, uczyli się, nie żeby co umieć, ale by prędzej skończyć, powoli zatracali wszelką indywidualność i nie mieli żadnych duchowych aspiracyj.

Rodzice powtarzali im jedno: „Uczcie się, cierpcie, milczcie!" Dziad nie mówił nic, nie przeczył, tylko patrząc na te dzieci, miewał czasem w oczach czerwone błyski wściekłości, lub mętność łez.

Uciechą jego i towarzystwem stała się wtedy dziewczynka.

Ta podczas wakacyj przedrwiwała mowę braci, stawała zuchwale do dysputy z matką, porywała się nawet do przeczenia ojcu.

Był to duch niesforny, buntowniczy, krytyczny.

Ojciec, matka, bracia nazywali ją kozą i smarkatą — a ojciec dodawał, że to całe szczęście, że nie jest chłopcem, bo mogłaby dom i rodzinę skompromitować — ba — zgubić!

Tylko z dziadkiem byli nierozłączni i zawsze w zgodzie. Prowadzili długie rozmowy — spędzali w pasiece długie godziny, czytając jakieś broszury i gazety które przywoziła z Warszawy, lub które stary pan z kufrów wyciągał.

Chadzali też we dwoje do lamusu, coś tam porządkowali, a potem siadywali na potężnem podwalu u ściany, i coś gwarzyli.

— Zobaczysz, że ta postrzelona koza narobi nam tęgiej biedy! — mawiał czasami ojciec do matki.

No — i narobiła. Którychś wakacyj dzieci oficjalistów zaczęły się do niej garnąć. Uczyła je czytać i pisać — rzecz srodze wzbroniona — uczyła je śpiewać. Rodzice struchleli.

— Za to może być kara! — rzekł ojciec. — Nie powinnaś tego robić!

— Przez ciebie my, ojciec, wszyscy możemy być skompromitowani! — dodała matka.

— Tylko nie ja! — rzekł dziad. — Lękasz się, to zwołaj swych oficjalistów, i powiedz, że ty im zabraniasz dzieci przysyłać do twego domu na naukę. Powiedz!

Wszyscy umilkli. Dzieci chodzić nie przestały.

— Ojciec zgubi tę dziewczynę. Całe szczęście, że to nie chłopiec! —pomyśleli rodzice.

Ale po roku zaczęło się coś i z chłopcami psuć.

Młodszy nie zdał egzaminu, na wakacje przyjechał ponury i zbuntowany, starszy zaczął napomykać, że chce przenieść się do innego gimnazjum, że wytrzymać nie może prześladowań.

Podczas wakacyj młodszy, ozięble traktowany przez rodziców, zaczął się garnąć do siostry i dziada. Wyznał, że nie uczył się wcale — przystał do stowarzyszenia, które „nowy zaprowadza ład“ — miał w głowie chaos pojęć, i szalonych mrzonek. Zaczęli się zajadle kłócić z dziewczyną, ale byli nierozłączni.

Starszy trzymał się na uboczu, i kłócił się z rodzicami o to przeniesienie.

Wszyscy byli nieswoi, rozgorączkowani lub zgnębieni, tylko stary pan pykał fa-

jeczkę — każdego z młodych obserwował i z pod siwych brwi błyskał rozweselonemi oczami.

Stary szaleniec niepoprawny, on się cieszył, czując w powietrzu rebelję!

Ale jakoś wakacje minęły bez wybuchu czynnego i dzieci wróciły do szkół.

Cisza trwała do pół zimy — i oto przyszła depesza od szkolnej inspekcji — wzywająca ojca. Zastał skandal. Młodszy syn został wyrzucony ze szkół za rewolucyjną propagandę.

— Nareszcie jeden! — mruknął stary pan, gdy chłopak wrócił z ojcem — i zaraz wziął go na spytki o katastrofę.

Zdarzyła się zwykła historja. Stowarzyszenie „nowego ładu“ wydawało odezwy płomienne, zbierało składki — a wreszcie pokiereszowało scyzorykiem portret władcy. Przeprowadzono śledztwo i wykryto wszystko.

— Któż pisał odezwy? — pytał stary pan.

— Ja.

— A kto zbierał składki?

— Lifszyc.

— A kto pociął portret?

— Lizogubow.

— No i wszystkich wypędzili?

— Nie. Lifszyc się zaparł, Lizogubow się wykręcił. Zwalili wszystko na mnie.

— Bardzo słusznie.

— To był z ich strony niecny postępek.

— A ty się czego spodziewałeś? Walczyliście za wolność całej ludzkości — oni przedewszystkiem swojej bronili i obronili. Byłeś najgłupszy — toś przegrał. Tylko nadal bądź ostrożniejszy. Lifszyc ma tedy pieniądze, Lizogubow plecy — a ty, jak nie będziesz miał także czegoś — to wiecznie w ciurach za nimi będziesz chodzić i służyć za ofiarnego kozła.

Teraz niełaska rodziców spadła z całą siłą na chłopaka. Matka wzdychała i płakała, ojciec — gdy się odzywał, to z oburzeniem, lub niechęcią.

Co miał robić, dokąd iść? Wszystkie szkoły były dlań zamknięte — żadnej karjery!

Czuł się bezczynny, zgnębiony, przechodząc od wściekłych wybuchów zemsty i zawziętości do apatji, od szału do łez. Zwierzenia czynił przed dziadem.

— Żebym cośkolwiek miał, tobym poszedł w świat, tobym coś działał, oświecał tłumy — czem są, a czem być powinny.

— A ty sam wiesz, czem jesteś?

— Jestem spętaną siłą — jestem niewolnikiem.

— Dobrze — ty — to prawda! A czemże być powinieneś?

— Człowiekiem wolnym!

— I to słuszne. Tylko ci zatem brak — tego „cośkolwiek", co tak nazywasz.

— Swobody i pieniędzy!

— Mój chłopcze, to ci właśnie odebrali twoi kamraci, Lifszyc i Lizogubow. Możebyś z czemś innem i z kimś innym szedł w bój. Niech ci się nie zdaje, że wynalazek swobody i wolności zrobili Lifszyce i Lizogubowy. Byli i przed nimi tacy, co o to walczyli, składek nie mydlili — i za plecy niczyje się nie kryli.

— Dziadunio opowiada stare dzieje. Tamto już minęło, nie wróci. Teraz trzeba wyzwalać świat cały, wszystkich.

— Więc się nie buntuj i nie wściekaj. Wyzwoliłeś sobą swoich kolegów. Czekaj cierpliwie — jak im będziesz potrzebny — to ci dadzą pieniędzy i swobodę.

Chłopak popatrzał na dziada — zamyślił się, potem się gorzko uśmiechnął.

— Mnie nikt nie wezwie, ja jestem niczem — nie posiadam nic!

— Dobrześ się uczył — o dobrze. Skorzystałeś z gimnazjalnych podręczników i wykładów! — burknął dziad.

Wiosną, w kwietniu, chłopak wałęsając się po sadzie, zobaczył drzwi lamusa otwarte, i zajrzawszy tam, zastał dziada siedzącego nad skrzynią, z której dobywał stare rusznice.

— To dziadunio ma całe muzeum starej broni, — rzekł zaciekawiony.

— A dobrze żeś przyszedł, to mi pomożesz. Nazbierało się tu tyle rzeczy, trzebaby spis sporządzić. Jak umrę, to tu nikt się nie zorjentuje. A tu i cenne rzeczy są — ot te dwie szable — sprzedałem je — wziąłem tysiąc rubli — unikaty. Są u nas od barskiej konfederacji. Dobrze były schowane — tyle lat w ziemi leżały — plamki rdzy mają — a może krwi . . .

— Skąd dziadunio wie, że one z barskiej konfederacji?

— Zapisane jest — tam w tym kufrze, w papierach.

Chłopak się rozejrzał. Kufrów, pudeł, skrzynek pełno było w lamusie.

— Dziadunio tu skarby ma!

— Ha, jak co, jak komu. Te szable Anglicy kupili.

— Szkoda dziaduniowi je oddać.

— Nie! Za nie wykupię piekłu jedną duszę.

Odłożył szable nabok, jął ze skrzyni wydobywać strzelby i wycierać je z zimowej pleśni. Słońce biło całą pełnią do tej izby mrocznej, i starzec każdą sztukę broni pieścił, polerował, cieszył się tym widokiem. Zaciekawiony chłopak obok niego usiadł, przyglądał się.

— Sześć się tylko uchowało. Miałem piętnaście. Leżały zawsze w lamusie, jeszcze za mego ojca. Jak przyszła ruchawka, rozdałem dziesięć i poszliśmy z niemi w lasy. Pięć matka schowała, te co już swoje odbyły. Zakopaliśmy je z matką tutaj — w loszku. Dobra schówka była, bo nikt nie znalazł. A jakeśmy przegrali — tom i tej com miał — nie dał wziąć. Schowałem w drzewo. Lata tam czekała — wróciłem — znalazłem — i ona tu swoje miejsce wysłużyła. To ta — moja!

Wziął do rąk dubeltówkę, ciężką, staroświecką, niepokaźną, i na jej cynglu położyszy dłonie, zapatrzył się w nią, uśmiechnięty.

— O niej to nikt nic nie zapisał. Ot tamte — to mają historję. Służyły pod wielkimi wodzami, widziały chwałę. Ho, ho — legjony, 12 rok i 30. Widzisz, misterne są, drogocenne. Może Angliki je także kupią — moja to nikogo nie złakomi. Może które z was uchowa — na pamiątkę. Służyła uczciwie, miłowaliśmy się z sobą! Poznasz je, jak mnie nie będzie?

— Poznam!—rzekł chłopak biorąc broń, i opatrując ją z zajęciem.

— To i zapamiętaj; zapisz sobie i tak mów: Dubeltówka z 63 roku, z partji Rogińskiego. Mój dziad nie dał jej sobie odebrać do ostatniego naboju!

Sięgnął znowu do skrzyni i począł układać przetartą broń, porządnie, okręcając ją pojedyńczo w irchowe pokrowce. Potem skrzynię zamknął—i dwie szable owinąwszy w połę, z lamusa wyszedł.

— Szkoda je oddawać! — szepnął chłopak.

— Ciebie większa szkoda! — rzekł stary.

Dopiero po paru dniach zrozumiał, co to znaczyło, gdy mu ojciec powiedział, że zdecydował się wysłać go na studja zagranicę.

— Koszt straszny! Nigdybym nie zebrał na to, ale dziadek się uparł — dołożył. Wprawdzie te nauki nie dadzą ci tutaj karjery — i nie uchronią od wojska, ale co robić. Sam sobie jesteś winien.

Chłopcu rozszerzyła się pierś, wstąpiła weń otucha. Poleciał szukać dziada. Znalazł go znowu w lamusie. Tym razem nie broń czyścił, ale przesuszał jakieś stare ubrania i materje.

W wiosennem słońcu odżyły lite pasy, galony sczerniałe, wzorzyste adamaszki. Były stroje kobiece ze sztywnych materyj — i wyblakłe stare mundury, złotogłów i grube sukno, drelich i aksamit.

Stary pan je rozłożył, rozwiesił — i chodził od jednego do drugiego, uśmiechając się z lubością.

— Dziaduniu! Te dwie szable już wiem, na co poszły — zawołał chłopak.

— A ja jeszcze nie wiem. Przekonam się, jak wrócisz człowiekiem. Ostrożnie, nie szastaj się, bo mi co rozrzucisz.

— Czego tu niema w tym lamusie!

— Ha, przechowało się. A zbierało od pięciu pokoleń. Uważasz, coraz skromniejsze, uboższe. Ot — widzisz, dziada mundur — a ot mój.

Wskazał ułańską kurtkę ze śnieżnemi wyłogami, a obok bluzę szarą, pasek z krajki, jedwabną koszulę.

— Zkapcanieliśmy? Co? Skończyliśmy na takim garniturze.

Podniósł ze skrzyni i rozwiesił na drzwiach świtę szaroburą—bez formy, i takąż czapkę z uszami.

— Ciężko było w tem iść — ale mocna — wytrzymała, praktyczna do wojażu. Widzisz dwa G na plecach — na twojej uczniowskiej czapce taki sam znak: Ty mi tę swoją czapkę i bluzę tu dasz. Kiedyś, gdy na nie spojrzysz — zrozumiesz ciąg naszej historji, i swoim dzieciom wytłumaczysz. Wykpiłeś się od zguby — pójdziesz w świat — pamiętaj, że wrócić tu musisz, i coś dołożyć do tego lamusu, a przynajmniej, co tu jest, uchować. Dlatego spis zrobimy, zanim odejdziesz! Siadaj tam, książkę czystą ci przygotowałem — pisz, będę dyktować.

Kilka dni spędzili przy tem zajęciu. Stary porządkował, przekładał i mówił — młody

pisał. Potem siadywali na podwalinie pod ścianą — stary gadał — młody słuchał.

— Całe szczęście, że chłopak zagranicę jedzie. Już go ojciec zdurzył do reszty! — mawiali ze sobą rodzice.

Na wakacje przyjechała tylko dziewczyna. Starszy syn doniósł, że przyjął posadę korepetytora u młodszego kolegi w Królestwie, że po wakacjach zostanie w Warszawie, i pomimo protekcji stryja w Petersburgu, do tamtejszych wyższych zakładów nie wstąpi.

Ojciec zagroził mu tedy cofnięciem środków pieniężnych, ale to nie złamało uporu młodego; odpisał, że pójdzie o własnych siłach.

Siostra i dziad musieli być w spisku, bo dziewczyna jadąc do Warszawy dostała od starego pana jakąś paczkę — i młody wcale się do rodziców o pomoc nie zgłosił.

— Ojciec będzie miał na sumieniu wszystkich! — rzekł z goryczą raz syn. — Wszyscy troje straceni. Te mrzonki, któremi ich ojciec zaraził, nie dadzą im tu być i pracować i nie dadzą im nigdzie karjery. Wy rosną na malkontentów, buntowników i pasorzytów! Człowiek ideą się nie nakarmi

— Człowiek oprócz kiszek do trawienia i mózgu do interesów — ma jeszcze coś więcej. Ja na sumieniu mam was — dzieci — to wy zmarnowani przez nas. Ale wnuków nie godzi się zmarnować karjerą i materjalnym bytem. Cóż to? ja ich strzegłem? pilnowałem, uczyłem? Byli ci posłuszni — do czasu, jak czas przyszedł — posłuchali powołania. Ty się o nich nie lękaj — wrócą tu wszyscy — i pozostaną — i będą pracować dobrze — choć inaczej jak ty!

— Zobaczymy! — sceptycznie mruknął ojciec.

Jednakże na wakacje wezwał starszego syna do domu i znowu zjechało się troje.

Stary pan bardzo na siłach podupadł — już tylko o kiju, powoli po sadzie się suwał. Ale gdy ich zobaczył, rozpromieniła mu się twarz, i wyprostował się i patrzał po nich z lubością, z jaką oręże stare oglądał.

— Ho, ho, ho! Mogę już odejść. W gnieździe orlęta porosły — upierzone! Czujecie skrzydła. Co? Ale jedno już tu zostać musi. Nie zdołam już nic, trza mi spadkobiercy. Które?

Popatrzyli po sobie, a potem wszyscy mężczyźni na dziewczynę.

— Ona!

— Ona! — potwierdził dziad. — Gniazdo — wiadomo — orlicy. — A ona pobladła.

— Ja najmłodsza, najsłabsza, najmniej umiem!

— Nieprawda. Choć najmniej umiesz — najwięcej zrobisz roboty — bo jej najwięcej masz.

— Rodzice mi nie dadzą nic robić, nie pozwolą. Oni się boją, oni żałują — a ja nie potrafię tak żyć.

— Cóż chcesz? Lamus ci dam, ze wszystkiem, co w nim jest! Możesz sobie w nim rządzić jak chcesz.

— O dziaduniu! Czy potrafię? Wszystko to zachować trzeba.

— Rozumie się! — rzekli bracia.

— A mnie w nim przestrzeni trzeba.

— Schowamy skrzynie do lochu pod ziemię.

— Pilnuj, by rdza i mól nie zniszczyły — rzekli bracia.

— Upilnuję. Ale mi i światła w nim trzeba, a tam w okienkach kraty.

— Pocóż ci tyle światła?

— Bo zeń ja szkołę zrobię.

— Szkołę! — zadumał się dziad — i pa-

trzał na lamus, przed którym stali. — Szkołę! Prawda!

Był warownią, skarbcem, kryjówką, składem pamiątek — godny jest szkołą być! Godny!

Prawda, on nie przeżył siebie! Prawda! Przestrzeni trzeba, światła, kraty precz.

— Chłopcy — jej oddać klucze?

— Tylko jej, dziaduniu.

— Tylko jej. Uchowa wszystko. Masz, dziewczyno, zakładajże w nim nowe gniazdo. Gniazdo — wiadomo — orlicy — nie inne!

JAN BORUCKI

Jak wielka Polska nikt nigdy nie słyszał o Janie Boruckim — i on o niej długi czas nic nie wiedział. Żył Jan Borucki w mieścinie Wołczni — w dziczy poleskiej — o siedem mil od powiatu.

Mieścina Wołcznia była „stanem", posiadała mirowy sąd, akcyźnika, pocztę, przychodzącą raz na tydzień, „wołość", dwie cerkwie, trzy bóżnice i pięć tysięcy ludności dwóch wyznań: Żydów-handlarzy i rzemieślników i mieszczan prawosławnych.

Otóż tu się zaczyna osobliwość Jana Boruckiego: był on jedynym katolikiem i Polakiem w Wołczni. Że był katolikiem, to wiedział, niestety, dobrze, bo ten szczegół w papierach często mu przypominano w karjerze i jego i dzieci; że był Polakiem, to mu mniej dokuczało, bo nie posiadając majątku, kontrybucji nie płacił, a że był jeden, nikt go o intrygi wywrotowe w państwie nie posądzał i nie prześladował.

Miał Jan Borucki dworek i ogród na jednej z mieszczańskich ulic, odziedziczony po ojcu geometrze, a sam od najwcześniejszej młodości był „wolnonajemnym“ pisarzem przy sądzie.

Etatowym być nie mógł, z racji wyznania, ale posadę miał stałą, z tej racji, że był licho płatny, a nieoceniony był w swym fachu i pismo miał: „prosto pieczat“, jak mawiali urzędnicy.

Życie Boruckiego ubiegało między „kamerą“, kancelarją „prystawa“ i swoim dworkiem. Zmieniali się sędziowie, urzędnicy, paliło się i odbudowywało miasteczko, ale dworek Boruckiego nigdy się nie spalił — i on swoje pisał. Zarabiał trochę i na stronie, pisał dla prystawa, dla akcyźnika, czasem nawet we włości pomagał przed rekruckim poborem, w domu mało co bywał, i sprawami własnemi mało co się zajmował. W domu rządy trzymała żona, córka gorzelanego z sąsiedniego dworu. Ostra to była, gospodarna i radna kobieta. Borucki bał się jej za życia, i bał się nawet po śmierci. Założyła przy dworku sad, handlowała trzodą, stołowała kawalerów i wychowała czworo dzieci. Najstarszą córkę trzymała

w domu sobie do pomocy, młodszą aż do Kijowa posłała do ciotki, na naukę krawiectwa, syna jednego wkręciła na gorzelanego, najmłodszego odumarła, gdy jeszcze chodził do szkółki w miasteczku.

Wielki był kłopot, gdy zachorowała śmiertelnie. Borucki musiał nająć konie po księdza, a były takie roztopy, że ledwie ksiądz przyjechał i ledwie odjechał . . . już znowu nieboszczkę na cmentarz trzeba było wieźć.

Sąsiedzi mieszczanie i nawet sam sędzia radził Boruckiemu „liszniego“ rozchodu uniknąć i pochować na cmentarzu prawosławnym. „Nie wszystko jedna wiera?“ — mówili.

— Nu, zapewne jedna! — wahał się Borucki, noc spędzając nad ciałem.

Świece i lichtarze pop dał, znajomi przychodzili nawiedzić, modlili się po rusku, córka nawet napomykała, że na mogiłę bliżej będzie pójść, a tam — to kto się dowie! Borucki rozmyślał, pilnując świec przy trumnie, noc całą. Jak nie rozmyślał, to czytał z grubej, starej książki, jedynej, co w domu była, modlitwy.

Czytał bardzo powoli — zapomniał już tych liter. A rano się namyślił — konie na-

jął, choć drogo i pojechał z ciałem do kościoła.

Po tym jego postępku jakiś czas krzywo nań patrzył duchowny, niechętnie sędzia, a mieszczanie sąsiedzi parę razy w kłótni o sad nazwali Boruckich „polackie mordy". Ale zczasem zapomnieli, bo nie było żadnej więcej okazji. Dziewczyny Boruckiego zastąpiły matkę w dworku. Starsza gospodarzyła, młodsza założyła warsztat krawiecki. Ubierały się u niej popadzianki, akcynikowa, prystawowa, cała inteligencja miasteczkowa. Zarabiała dobrze — wygadana była, ładna, zalotna. Zaczęli do niej się umizgiwać i urzędnik z poczty, i pisarz wołostny i sekretarz prystawa; było w czem wybierać.

Roboty było pełno, donajęła panna Zofja — Zonia ją w domu nazywali — dziewczynkę do pomocy. Zarabiała dobrze, co wieczór zbierała się wesoła kompanja, grali na skrzypcach, śpiewali, kawalerowie wysadzali się jeden przed drugim. Borucki mógł już być o dzieci spokojny. Starszy syn dostał posadę na Wołyniu, napisał, że się ożenił z córką bogatego kolonisty: starsza córka zbierała grosze i o zamążpójściu nie myślała. Zonia mogła choć dziś zostać pisa-

rzową wołostną — a wołość była dochodna. Tylko jeszcze był kłopot z najmłodszym, z Władkiem, którego pospolicie zwano Wołodia. Chłopak był zdolny i ciekawy, skończył „narodną“ szkołę, trzeba go było dalej uczyć, ale już nie było gdzie. Świat leżał tak daleko za Wołcznią, że do niej nie dochodził żaden dźwięk stamtąd, a tylko Borucki wiedział, że dla Wołodi niema tam ni „lgotnych“ praw, ni taniej nauki, ni opieki i pomocy. Nawet i nie próbował się starać, podawać próśb, szukać protekcji u swoich zwierzchników.

Chłopak tymczasem rósł i próżniaczył, i całe szczęście, że czytać lubił. Gdzie mógł, dostawał gazety, książki, zachodził też na pocztę i wkręcił się na bezpłatnego pomocnika. Urzędnik, kawaler Zoni, chętnie go przyjął. Nareszcie Zonia wyznała ojcu, że pisarz się oświadczył — prosiła o radę. Borucki się zadumał. Naprawdę los to był świetny, bo Makarewicz i posadę miał intratną i w Pińszczyźnie majątеczek, i nie pił i nie łajdaczył — uznanie nawet u „sprawnika“ miał.

— Tylko, że ruski! — szepnął Borucki, oglądając się, żeby kto nie podsłuchał.

— On mówi, że on z katolików. Dziad katolik był — rzekła Zonia. — A tu i innych niema. On i do cerkwi mało chodzi.

— Pewnie — co nam robić! Ja tobie nie mogę bronić — taki los. Pomyśl sobie — do ciotki napisz do Kijowa. Lata masz i rozum.

Oprócz lat i rozumu, Zonia miała serce i gorącą krew, a pisarz był chłopak jak malowanie. Pomyślała krótko — zgodziła się.

Trzeba było znowu do kościoła jechać po metryki. Teraz już konie nie kosztowały — narzeczony dał stójkę gminną; pojechał Borucki z córką. W kościele bywali raz do roku, a czasem i raz na lat parę. Ksiądz był stary i zimny. Wyspowiadał ich oboje, potem metrykę wydał.

— Zapowiedzi nie trzeba — rzekł i grosza nie wziął.

Wracali jednak jacyś chmurni i milczący — i dziewczyna płakała. Ale w domu czekał narzeczony, rozchmurzył, czekała wyprawa, przygotowanie do wesela — zapomniała.

Wesele było, jakiego nie pamiętano w Wołczni. Cała inteligencja, nawet sędzia z żoną, byli w cerkwi, wszyscy śpiewacy ze

szkoły i bractwa, obydwa popy, cała asysta, i miasteczko całe wyległo, a do dworku Boruckiego i dostępu nie było za gawiedzią, a w dworku bal trwał do rana.

Kapela rżnęła, tańce, biesiada, poczęstunek. Gospodarz kłaniał się, zapraszał, służył — podpili wszyscy.

Po kolacji akcyźnik poklepał Boruckiego po ramieniu i rzekł:

— Cztoż, Iwan Wikientiewicz, teraz na was kolej! Porzuć „papu rimskogo“, co on tobie da — figę. A ot nasz będziesz — akcyznym kontrolerem ciebie zrobię. Dziewięćset rubli pensji!

Borucki aż oniemiał, i tylko się uśmiechał i kłaniał.

Goście wyżsi rozeszli się po kolacji, młodzież hulała na zabój. Borucki nie przywykł pić, w głowie mu się kręciło, wysunął się do bokówki, gdzie dawniej mieszkał z żoną, a teraz sam. Lampeczka mała paliła się, na stoliku leżały jego akta, a w kącie posłanie, nad posłaniem obrazy i półeczka, a na niej książka nieboszczki. Pył grubo na książce leżał.

Usiadł na kuferku Borucki i musiał zadrzemać.

Posłyszał hałas — z półki spadła książka, potoczyła się na ziemię — rozsypały się z niej obrazki, kwiatki, szkaplerze. Chce podnieść Borucki, a nie może. Aż otwierają się drzwi — wchodzi Wołodia. Przykucnął na ziemi — wziął książkę — patrzy — ogląda i podnosi na ojca oczy.

— Nie umiem tego czytać — co to, tatku? Dlaczego mnie tatko tego nie nauczył? Sam się nauczę.

I zgarnął książkę, pozbierał obrazki, kwiatki za bluzę zatknął — i wyszedł.

Ocknął się Borucki na jakiś ryk. Patrzy — książka leży pyłem przykryta — a za drzwiami weselnicy kozaka tańczą i ochryple śpiewają:

Kak prekrasnaja stalica
Etod gorod Pietierburg
Oj derwień, derwień Kaługa
Tuła radina maja!

Wstał Borucki, zdjął książkę z półki, otarł kurz — i otworzył. Nic, żadnych liter nie pamięta, ani słowa nie może przeczytać. Zrobiło mu się jakoś dziwnie — straszno — od tego snu . . .

Skończyło się wesele, Zonia osiadła u męża — w dworku zrobiło się obszerniej — nawet starsza Emilka zaczęła starać się o

lokatora, bo i Wołodię zabrał Makarewicz sobie do pomocy i na mieszkanie. Borucki, jak zwykle, dzień spędzał w „kamerze", wieczorem pisał — w dworku było pusto i cicho.

Pewnego wieczoru przybiegł Wołodia.

— Wiecie, do stanu przyprowadzili z powiatu jakichś buntowszczyków — na posielenie tutaj.

— Co gadasz — czy to u nas Sybir! Pewnie aresztanty etapem idą.

— Nie, jej Bogu — tu zostaną. Trzech — takie bure sukmany mają i pasy — nie tutejsze. Z Polszy buntowszczyki — mówił prystaw.

— Awantura, jeszcze jakie rozbójniki — miasteczko podpalą. Słyszysz, tatku!

— Słyszałem. Mówili w policji, że przyjdą. Tu ich zesłali na cały rok.

— Kto oni tacy? Co zrobili?

— Uporne uniaty z Siedleckiej guberni.

— Gdzież to? — spytała Emilka.

— Głupia ty! — pochwalił się Wołodia. To w Prywiślińskim kraju.

— To oni nie ruskie już, a jakie?

— Ruskie — ale nie chcą do cerkwi chodzić, i przysięgać. Bez wiary żyją.

Nic nie rozumiała Emilka, ale uspokoiła się, że te aresztanty miasteczka nie podpalą.

Nazajutrz zobaczyła ich na rynku. Był jeden stary suchy, poważny dziad, jeszcze jak dąb krzepki, był średnich lat mężczyzna o łagodnej twarzy i wyrostek może szesnastoletni. Mieli na sobie świty, wyszyte na kołnierzu, pasy rzemienne, włosy krótko przycięte, brody golone.

Patrzało im z oczu coś tak szczególnego, że ludzie z Wołczni jak na dziwo się gapili.

Chodzili zupełnie wolno —mogli robić, co się im podoba, tylko nie wolno było odejść z miasteczka. Znać było na nich wymęczenie więzieniem i drogą — ale nie znać było wstydu ni strachu. Ledwie przenocowali, już pytali roboty. Stary był bednarz, młodszy na rymarstwie się znał, chłopak ze starym się trzymał, krewny snać był.

Miasteczko o niczem innem przez dni kilka nie mówiło, tylko o buntowszczykach z Polszy, potem ucichło.

Pewnego wieczora, Emilka podając wieczerzę Boruckiemu, opowiedziała, że stary u nich na robocie był, beczkę na kapustę narządził i pytał, czyby ich na kwaterę nie

przyjęli, że u mieszczan im ciężko być, a Żydzi za drogo żądają.

Kazna im daje trzy ruble miesięcznie na życie — to skąd wziąć!

— Jużci — izba jedna pusta — piec i tak trzeba palić dla alkierza, ale co od nich wziąć!

— A nie straszno ich brać — żeby w biedę z naczalstwem nie wpaść! — rzekła Emilka.

Borucki ramionami ruszył.

— Nie było wzbronione ich przyjmować. Nie trzeba i rozpowiadać.

Emilka jakby się ucieszyła, ale nikomu się nie chwaliła ani wspomniała. Wygnańcy wnieśli się do izby — mieli tylko swe aresztanckie worki — umówili się trzy ruble miesięcznie płacić i rozgościli się. Póki było ciepło, chodzili na robotę i rąbali drwa, nosili wodę, pracowali u Żydów w ogrodach, u mieszczan przy młócce, nie przebierali, i zarabiali uczciwie i pilnie — wieczorem warzyli byle co, oszczędnie — i kładli się spać. Prawie ich nie widywali Boruccy.

Ale nastały krótkie dni, słoty, urwała się robota.

Stary bednarką się trochę zajmował, średni chomąta i uzdy zszywał, gdy kto przyniósł, chłopak jeść warzył i szmaty łatał. Nigdzie nie bywali, ze sobą żyli jak bracia — wieczorami śpiewali.

Śpiewy te zwabiły Wołodię, i on pierwszy zagaił znajomość z chłopakiem — przy studni.

Dowiedział się, że mu na imię Staszek, a staremu Bazyl — że to jego dziad, matczyny ojciec, a trzeci, Demko — cudzy sąsiad z tej samej wsi: Dubowni, że ze wsi trzydziestu mężczyzn tak zesłali — w różne strony — za bunt.

Rozgadali się chłopcy — słuchał Wołodia jak bajki.

Potem wieczorem do izby ich się zamówił, nibyto pasek zeszyć, i starszych jął rozpytywać. Przyszła i Emilka z kołowrotkiem — zaczęły się wieczornice codzienne — słuchali Boruccy, otwierali usta i oczy wlepiali w starego Bazyla. On opowiadał jak prorok i kronikarz, świadek i współuczestnik każdego wypadku. A byłyż to dzieje!...

Przestawała prząść Emilka, rękami cisnęła piersi, bo zda się, z dygotu serce wyskoczy — a łzy same leciały z oczu, i tchu

brakło. Pochylał się ku staremu Wołodia i dyszał, i oczy mu gorzały.

A obok, w alkierzyku, Borucki stary siedział nad aktami — i słyszał każde słowo.

A czasem Wołodia o pieśni prosił — i ogarniała pieśń cały dworek, że pod okna zaglądali sąsiedzi, i czasem która z mieszczanek ośmieliła się w sień i do kuchni przyjść posłuchać.

Pewnego dnia przyjechał do Boruckich jakiś dworak i spytał, czy u nich mieszkają unici.

Dowiedziawszy się, że gospodarze katolicy, stał się rozmowniejszy —i opowiedział, że pani przywiozła z Warszawy jakąś posyłkę dla Bazyla Panasiuka.

— To i w Warszawie wiedzą o nich i o Wołczni! — zdziwiła się Emilka.

— Ho, ho — w Warszawie wszystko wiedzą — z Warszawy wszystko idzie.

— A pan może też z Warszawy?

— Nie, ja z pod Wołkowyska. We dworze za ogrodnika służę, — Skowroński Józef moje nazwisko.

Doczekał się Bazyla i został na wieczór.

W posyłce odzież była i bielizna, i trochę grosza i książki — i listy.

— Pamiętają aż w Warszawie o was! — rzekł Wołodia Staszkowi.

— Rozumie się. Matka o każdem dziecku pamięta!

— Jaka matka?

— Nasza Polska.

— To za Bugiem?

— Hej, za Bugiem — het — wkoło, szeroko — wszędy. Nie wiesz to, kędy Gniezno, a kędy Kraków, a Częstochowa. Nas — siła narodu. A ty historji nie znasz?

— Jakiej?

— A naszej: jak Krakus smoka zabił — i jak Niemców położyli jak drew pod Grunwaldem — i jak pod Wielkiemi Łuki Moskwę za gardło wzięli — i jak pod Wiedeń chodzili — i jak Królowa Marja Niebieska Częstochowę obroniła. Hej — a o Kościuszce naczelniku wiesz!

— Nie — nie słyszałem.

— To co ty za Polak taki? To się naucz.

— A skąd?

— A z książki. My z Krakowa, jak na spowiedź idziem, to zawsze książek przyniesiem i obrazków. Herb nasz toś widział?

— Nie. Masz? Pokaż!

— Poczekaj — zaszyty — trza wypruć.

I zobaczył Wołodia Znak Królewskiego Białego Ptaka. Chciał go kupić. Obraził się Staszek, a potem błagającemu dał, choć snadź mu bardzo ciężko przyszło. Odtąd stali się serdecznymi przyjaciółmi. Rzecz dziwna, — Wołodia nikomu ptaka nie pokazał, i Makarewiczom nic o swych wiadomościach nie powiedział. Stał się tylko zamyślony i roztargniony, szwagrowi mało co pomagał, ciągle w domu siedział. Od Emilki dowiedziała się Zonia o tych chłopach i przyszła posłuchać.

Przyszła, i zaczęła codzień chodzić, za nią ściągnął Makarewicz. Chłopcy z każdym mówili, nikogo się nie lękali, opowiadali swoje boje i męczeństwa, prosto, spokojnie — jak nic nadzwyczajnego.

Zjawiał się też niekiedy Skowroński, widać było, że mu się Emilka spodobała; przez niego dostał Wołodia książek, ani się obejrzał, jak już czytać umiał, i choć się mylił, już i pismo pojął. Demko mu pieśni dyktował — wszystkie napamięć umiał — melodje Wołodia wlot chwytał. Makarewicz i Borucki trzymali się ostrożnie w alkierzyku i nie mówili sobie, co myślą, ale nie

bronili kobietom rozpytywać, i słuchali z za drzwi. Kilku starych mieszczan przychodziło, kilka kobiet, ale, rzecz dziwna, po miasteczku nie rozchodziły się plotki — do urzędu nikt nie donosił.

Zapadały w serca słowa, dziwy, i tlały cicho. Przeszła tak zima. Wiosną zjawił się Borucki do „prystawa“ z prośbą o paszport dla chłopca do Warszawy. Zdumiał prystaw.

— Do Warszawy! Cóż on tam — na służbę?

— Na naukę — do ogrodnika.

— Także rozum! Lepiej w telegrafisty poślij — dostuka się czego.

— Chłopiec chce między swoich.

— To wam swoje w Warszawie? Nu, nu!

— Tutaj-że nam też wszystko zagrodzone — miejsca niema.

— Bobyście raz stare głupstwa zmazali. W ruskim kraju trzeba ruskim być. Inaczej nie będzie.

— To kiedy tak — niechże chłopak jedzie, gdzie chce.

— Stary durak! — zamruczał prystaw i kazał paszport wydać.

Borucki dobył z kuferka pieniędzy, Sko-

wroński na parę dni się zwolnił we dworze i powiózł Wołodię do Warszawy.

Skończyły się też z wiosną wieczornice w dworku — unici wzięli się do robót po ogrodach, i każdy gospodarką, przednówkiem, siewami był zajęty. Zda się, wyszły wszystkim z myśli i pamięci opowiadania starego Bazyla, pieśni Demki. W czerwcu u Boruckich zdarzyły się dwie nowiny. Skowroński zaręczył się z Emilką i Zonia urodziła syna. O wesele nie turbował się stary, bo mu syn z Wołynia przysłał sto rubli, ale czuł, że z wnukiem będą ciężkie przejścia.

Poszedł odwiedzić córkę i nieśmiało spytał o chrzciny.

— Do cerkwi nie dam zanieść! — oświadczyła Zonia.

— To jakże? A cóż on na to? — wskazał na męża.

— On mi poprzysiągł na zbawienie duszy, że także nie ustąpi. Zabiję się, dziecko uśmiercę, a nie dam. Ot zaraz — niech go ojciec ochrzci z wody — i tak zostanie.

Borucki popatrzył na Makarewicza. Ten odetchnął głęboko, jak człowiek, który decyduje się na najgorsze i rzekł:

— Chrzcijcie, tatu, na Stanisława! Co będzie, to będzie!

Borucki przeżegnał się. Woda już była przygotowana. Odmówił pacierz i ochrzcił wnuka.

Jakiś czas było cicho. Nie nalegał pop o chrzest, bo kobieta leżała, nie było komu przyjęcia sprawić. Ale gdy Zonia wstała, duchowny przypomniał święty obowiązek. Makarewicz zbył go narazie, a nazajutrz wieczorem przyprowadził do ojca żonę z dzieckiem. Coś poszeptali, Borucki konie najął i w nocy odwiózł Zonię do kolei.

Cztery dni go nie było. Wrócił na skandal. Makarewicz twierdził, że mu teść żonę i dziecko wykradł, a sam tymczasem wyprzedawał dobytek i graty, wiedząc, że ta wymówka wiele nie posłuży.

Poszły donosy i protokóły. Boruckiego bez ceremonji wygnał sędzia i zarobionego miesiąca nie zapłacił. Makarewicz dostał po paru tygodniach wilczy bilet. Obydwaj zostali oprócz tego oddani po sąd.

Wśród urzędników i inteligencji miasteczka powstał istny popłoch i konsternacja.

— Przedstawcie sobie! Ten Borucki! Myślał to kto? Całe życie najspokojniejszy był, najpewniejszy, porządny człowiek.

Trus przytem, cichy, pokorny. I wierz to Polakowi, gadzinie! Tak głaskali, chleb dawali, i ot, pokazał swoje.

Makarewicz wyprzedał wszystko, i nie czekając sądu, wyjechał. Borucki pozostał sam.

Cicho, prędko ślub sprawił Emilce i czekał spokojnie swego losu.

Nie mając co robić, tęsknił za kamerą, za aktami, po dworku się snuł, jak dusza pokutująca. Unici przyszli z nim się żegnać, odbyli swój czas i stary Bazyl go cieszył:

— Niech się pan nie stracha. Raz życie, raz śmierć, i dwóch dusz nie można mieć, jedną dla ludzi, drugą dla Boga. Jedna Boska jest. Tak tylko postanowić — i trzymać, a nic nie straszne. Kontrybucję siedm razy płacili, siedzieli w kryminale trzy razy, teraz tu rok przebyli, do pustki wrócim. A pomimo wszystko, wie pan czyja będzie prawda? — nasza. Kiedy? Pan Jezus wie, a nam wszystko jedno, jeszcze tyle lat i jeszcze drugie tyle, a będzie nasza! Ino się nie strachać i duszy nie zgubić!

Został Borucki sam, napisał do Władka — bo tak się teraz chłopak w listach podpisywał — chodził po miasteczku, do

Emilki się dowiadywać. Stał się jakiś śmielszy i rozmowniejszy, a wieczorami samotny w alkierzyku grubą książkę nieboszczki czytał, bo już sobie litery przypomniał i książki, co był Władek dostał, także znał.

Gdy pozwy na sąd otrzymał, prawie rad poszedł. Pierwszy raz w kamerze był jako obwiniony. Prawo znał może lepiej od sędziego, a w wykręty i obronę się nie bawił. Wyznał:

Prawda. Dziecko ochrzcił, córkę wywiózł.

O chrzest rodzice go prosili — oni prawo święte mają. Córkę wywiózł, bo taka jej wola była, a gdzie — tego nie powie. Dlaczego to zrobił? Bo mu tak sumienie kazało, a że prawo przestąpił — karę zniesie!

Przez całe swe życie Borucki tyle naraz nie wypowiedział.

Chciał sędzia się dowiedzieć, kto mu takie myśli poddał, kto go buntował, podmawiał — zapewne księdza miał na myśli.

— Któżby mnie miał buntować? Sam jeden tu jestem Polak i katolik. Sam siebie pilnować muszę i tylko swoich czworga dzieci, żeby pamiętali kim są. Majątku innego im nie zostawię, ani godności, ani sławy. Uczciwie życie przebyłem i niczego się nie wstydzę!

Skazano go na 300 rubli „sztrafu“ i dwa miesiące więzienia. Nie apelował.

Pieniędzy nie miał — zaaresztowano graty w dworku. On sam nazajutrz po wyroku stawił się w więzieniu, w powiecie.

Odsiedział swój czas — wszystko to przeciągnęło się aż po Gromniczną, a w lutym zjawił się u Skowrońskich. Emilka zaczęła biadać, wiedziała, że za „sztraf“ poszedł dobytek i graty — zostały tylko cztery ściany.

— Jakże, tatku, teraz będzie!?

— Tak zrobiłem. Dworek zamknąłem na głucho, sad i ogród w dzierżawę oddałem sąsiadowi i te pieniądze dla Władka będą na naukę. A mnie samemu jak tam bez was być. Da Bóg, przyjdzie czas, zbierzem się może znowu do kupy, tylko już nie czworo was będzie, a może kilkanaście — naszych! Ja jeden byłem, przez to i niejedno się zaniedbało. Teraz w rozproszeniu trzeba być!

— A gdzież ojciec będzie? U nas proszę pobyć! — rzekł Skowroński.

— Do wiosny pobędę. Makarewicz mi przysłał kilkanaście rubli i Adaś z Wołynia dwadzieścia. To z wiosną ruszę.

— Dokąd?

— Do Władka — i dalej. Przed śmiercią muszę zobaczyć oczami własnemi, co to za Polska taka. Wnuki trzeba nauczyć, opowiedzieć. Jaż oprócz Wołczni świata nie widział. Przez to wiek zbył niewiadomo jak i poco. Wnuki wiedzieć będą.

I w taki to sposób i z takich przyczyn Jan Borucki z Wołczni, pisarz sądowy, choć późno, ale, poznał, kim był, uczciwie na Polaka egzamin zdał — i przed śmiercią Królowej w Częstochowie pokłon złożył.

BAJKA O GŁUPIM MARCINIE

Po śmierci starego Piotra znaleziono testament, w którym tak stało: Całą swą majętność — dom w mieście, młyn nad rzeką, i pole pod górą oddaję na własność synowi memu Tomaszowi. Miałem przed laty drugiego jeszcze syna, Marcina, ale ten dom i rodzinę porzucił, rad moich i nauk nie słuchał, dobra mojego nie pilnował, i zapewne gdzieś marnie przepadł. Wymazując go z mej pamięci — odsądzam od dziedzictwa. Jeśliby kiedy wrócił — nic mu Tomasz dać nie powinien, bo jeśli głupi — to straci — a jeśli mądry — to nie potrzebuje!

Wskutek tego Tomasz dziedzictwo po ojcu wziął, gospodarzył, oszczędzał, zbierał, i żył w ojczystym domu z żoną i dziećmi.

Aż nagle w kilka lat po śmierci starego — Marcin się zjawił. Przyszedł o kiju, obdarty i nędzny, ale wesół — i z miną bogacza — podzwaniał w kieszeni nożykiem

o gwóźdź. Więcej nic nie posiadał. Zaprosił go Tomasz gościnnie w dom, i zaraz na wstępie testament ojcowski wetknął przed oczy. Marcin przeczytał, roześmiał się:

— Jakby ojciec przeczuł — jaki wrócę! Trzymaj, bracie, co kochasz — ja ci nie zajrzę. Widziałem po świecie nie takie fortuny jak twoja, ale taką jak moja mało kto posiada.

Tomasz uspokojony uściskał go, i począł rozpytywać, gdzie bywał, ile zarobił, jak mu się wiodło.

— Gdziem bywał, trudniej odpowiedzieć, jak gdziem nie bywał. Zarobiłem stokroć więcej niżem stracił. A jak mi się wiodło! Hej! Wróciłem bogaty! Kupiłem sobie też majętność — idę w posiadanie objąć. Nieopodal będziemy. Służyłem u jednego, co tu kędyś zamek ma. Miałem złota wór, a on zamek na sprzedaż. Kupiłem sobie zamek.

— A jakiż on? Jak się zowie?

— Skalnia!

Tomasz za głowę się złapał.

— Na Skalni nijakiego zamku niema. Naga góra — kamień na kamieniu. Toć cię

okpili — zapłaciłeś złotem za głazy puste.

A Marcin się śmieje jak głupi.

— Niema zamku! A to dzięki Bogu! Pewnieby w nim nietoperze się gnieździły, i dach trzeba było poprawiać.

— Czyś oszalał kupować na niewidziane!

— Co miałem się ze złotem nosić? Ciężko i straszno. A mnie żyć miło i wesoło!

I jakby nic, podzwania w kieszeni nożykiem o gwóźdź.

Popatrzał nań Tomasz jak na warjata, i już więcej o nic nie pytał—bo co z głupim gadać.

Nazajutrz Marcin gościł jeszcze — obszedł braterskie majętności, zajrzał wszędy — i do roli i do młyna — słuchał interesów, i biadań, i projektów, i spraw rozlicznych domowych — i wciąż się uśmiechał, i gwizdał i śpiewał — a drugiego dnia za gościnę podziękował, i precz poszedł.

Na pożegnanie Tomasz go uścisnął, i powiada — bo mu przecie w duszy markotno było, że z jego racji brat ukrzywdzon:

— Słuchaj, Marcin, głupiś i biedny, alem ci brat, więc jakby ci tam źle było, a wiadomo, że na skale żyć nie można — to wróć! Ja ci dam chleb i posłanie i opiekę, i dach — i życie.

A Marcin zaśmiał się i powiada:

— Słuchaj, Tomasz — mądryś i bogaty. Jak ci źle będzie i ciężko — to przyjdź do mnie. Ja ci dam radę i pomoc — bom ci brat!

I pobrzękując nożykiem o gwóźdź w kieszeni — poszedł gwiżdżąc — ku swej jałowej górze!

Była właśnie wiosna i minęła — nastało lato i przeszło znojne — cicha jesień osnuła pajęczyną ziemię, kiedy Tomasz spotkał na jarmarku brata w miasteczku. Chodził wśród ludzi — gapił się, przysłuchiwał targom, swarom, narzekaniom i śmiejący zawsze, niefrasobliwy i wesół, gwizdał, w oczy dziewczętom zaglądał, każdemu coś śmiesznego rzekł, i tak się bawił ludźmi.

Tomasz markotny, bo targ na bydło był zły, a on tabun cały miał na sprzedaż, powitał go jednak uprzejmie.

— Marcin — żyjesz jeszcze! Jakże ci tam — narosło złoto na Skalni? Zamek budujesz?

— Witaj bracie. Dobrze mi. Gradu nie miałem — jak wy tu w dolinie. Zamek już gotów, ogień go nie weźmie — mam ci też tabun bydła, co sam sobie paszę na zimę

przysposobił — a przyszedłem z ludzi się pośmiać!

— A jam się zbierał ciebie odwiedzić — ale czasu nie było.

— Jeszcze przyjdziesz! — śmieje się Marcin.

— Może ci co potrzeba? Powiedz! Zima idzie — może ci czego nie dostaje! Rad ci pomogę.

Marcin pomyślał, podumał.

— Nic nie pomnę — czegoby mi nie dostawało. Dziękuję ci, bracie!

I poszedł do gospody. Wieczorem zastał go tam Tomasz. Siedział na rogu stołu i grał ludziom do tańca, a ludziom z tego grania kipiała ochota i wesołość, i tak zabawa szła hucznie, że leciały miedziaki na Marcinową połę, a dziewczęta zerkały łakomie w jego lice, i wabiły go uśmiechem — a on się ino śmiał.

A jak się stańczyli do upadłego, odłożył skrzypki, miedziaki zgarnął, gospodarzowi oddał nie rachując, i powiada:

— Stawcie bratu memu miodu i wina. Stawcie dobrodziejowi memu, bo się handlem uznoił.

I poił Tomasza i gościł, i świadczył mu, aż się ludzie dziwowali.

— Głupi on całkiem. Ten ci wszystko bogactwo zagarnął — w dostatkich opływa — a ten głupi jeszcze go traktuje. Szczęście ma ten Tomasz!

A Tomasz podpił sobie za miedziaki brata i w duchu już drwił z niego, a potem się rozczulił i jął mu swe troski opowiadać.

Bydło tanio sprzedał, żonę miał swarliwą — z dzieci żadnej pociechy, z sąsiadem proces.

A co jedno rzekł, to Marcin go ściskał — i dolewał miodu, i powtarzał:

— Pij, dobrodzieju mój — dziękuję ci, dziękuję!

Aż się Tomasz zdumiał, i rzecze:

— Zaco ty mi głupi dziękujesz? Upiłeś się?

Śmieje się Marcin, jeszcze raz go uścisnął, i za skrzypki ujął, i strojąc je powiada:

— Hej — jakże dziękować nie mam. Żeby ciebie nie było — nosiłbym twoje troski. Jędza baba mojaby była, i dzieci huncwoty, i sąsiad pieniacz.

I pociągnął smykiem, i przygrywając zaśpiewał:

Duża woda płynie, a mały młyn miele,
Nie ten ci bogaty, kto posiada wiele!

— Głupiś! — mruknął Tomasz.

Przez całą zimę Marcin wśród ludzi bywał. Jak pszczoły na miód ciągnęła młódź do jego skrzypek i pieśni, i rozrywali go po zagrodach i siołach. Innyby grosz nawet zrobił — ale on głupi był i tak go nawet nazywano.

Jak czas miał, to na rynku w miasteczku w błoto miedziaki ciskał, i śmiał się jak szalony — gdy gromady dzieci, a często i dorośli w błoto leźli i grzebali się w niem — szukając trojaka, — albo łowił wrony w samotrzaski i przyczepiwszy do szyi papierowego rubla, puszczał na swobodę — i szalał z uciechy — patrząc jak chłopaki ją gonili, czepiali się po drzewach na złamanie karku. Raz nawet na odpuście, gdy się nie mógł do kościoła docisnąć, jął z kruchty na cmentarz miedziaki ciskać, i tyle ludzi na nie wywabił, że szeroką drogą aż pod ołtarz zaszedł.

Śmieli się ludzie z „głupiego Marcina“ ale go lubili, gościli i wołali. Gdy jednak wiosna przyszła, ledwie śnieg z pól stopniał, a wicher marcowy zaszumiał, i dzikie gęsi otrąbiły swój powrót z wyrajów — Marcin przepadł bez wieści.

— Ciekawość, co też on tam robi, na swej Skalni! — pomyślał raz Tomasz, poglądając ku górom dzikim i jałowym, o które nikt nie dbał, bo na nich nic do zjedzenia i sprzedania nie było.

A pomyślawszy, że to święto było, poszedł przekonać się — jako tam „głupi“ żyje!

Ciężka była droga, wąska i stroma — nic ino kamień a głaz, i zioła dzikie w szczelinach — żeby się niemi koza nie napasła, a taka cisza, że tylko pszczoły po owych ziołach, żerując, słychać było. Słyszał od ludzi Tomasz, że do Skalni potok zaprowadzi, więc ponad tą wodą szedł, i drapał się i czepiał, aż wydostał się na dolinkę małą wokoło skałami otoczoną, a środkiem strumień ciekł z głazami wojując i swarząc, co mu na drodze stały.

A na jednym z tych głazów wyciągnięty Marcin leżał i grał na fujarce, zapatrzony w niebo.

Zawołał go Tomasz.

— Hej, Marcin, co ty tu porabiasz?

— Witaj bracie! Ja tu czeladzi swej doglądam, i trzodę swoją pasę! — odpowiada, podchodząc.

— Co za czeladź i gdzież trzody?

— A ot czeladź — słońce. Widzisz jak mi pole obrabia, a na niem trzoda hula. Nie słyszysz?

— To ty tu pasiekę założyłeś?

— A poco? Sama się założyła dla mnie. Jakem tu przyszedł, juści mieszkały po szczelinach. Słodkie serce mają moje skały.

— A gdzież ty mieszkasz?

— Jako one trzody moje w skale.

— A czemże żyjesz?

— Potok mnie karmi i poi!

— Aha! pstrągi masz — prawda! No, pokaż swe dostatki! — śmieje się Tomasz.

Zaprowadził go Marcin do jaskini, chłodnej i suchej — pokazał pszczelne szczeliny — swe posłanie z ziół suchych, swe statki nieliczne, potem go ugościł rybą pieczoną i miodem, a wreszcie usiedli nad potokiem, i Tomasz radził mu mądrze, jako starszy młodszemu — jako rozumny głupiemu.

— Słuchaj, Marcin. Troskałem się o ciebie, ale widzę, że jeszcze i z tych skał można coś wydobyć. Dolinka może rodzić zboże, a nawet ogrodowiznę — byle w nią pracy włożyć, uprawić, zielska te i krzaki wykarczować. Możesz wyżywić się i na zimę grosz odłożyć — ino się rybą też starannie zaj-

mij — nie leń się na targ zanieść. A już co pszczoły, to mogą cię wzbogacić, tylko je ze szczelin i skał trza wykurzyć w ule porządne, i nauczyć się, jak koło nich chodzić, żeby dużo miodu złożyły. No, a grunt — trzeba drogę lepszą wykuć — żeby towar dostawić, albo i kupca tu ściągnąć. Ino mnie słuchaj — Marcin — ja ci dopomogę — ja cię na gospodarza wyprowadzę, tylko ty próżniactwo rzuć — oto najprzód — do drogi się weź. Słyszysz?

— Słyszę — prawdę mówisz — najprzód do drogi się wezmę! — potakuje Marcin.

— A tę swoją głupią muzykę do wody ciśnij.

— Słyszę — takci uczynię.

— I w jaskini jak niedźwiedź nie mieszkaj — bo to wstyd i głupota!

— Jużem o tem myślał. Masz rację!

— Widzisz. Wszyscy ludzie mi rozum przyznają! Ino mnie słuchaj — na ludzi ciebie wyprowadzę!

— To pewna!

— Zróbże, co ci radzę, a ja cię znów kiedy odwiedzę — i pomogę, czemu sam nie dasz rady — a teraz mi czas wracać do domu, bo żona będzie nierada. Do zoba-

czenia, Marcin, a oto przeprowadź mnie do onej gardzieli nad potokiem, co się to po świerku ją przechodzi. Trzeba tam będzie most wymyślić lepszy — dla ludzi — nie dla kóz.

A gdy stanęli nad ową przepaścią — Tomasz długo i szeroko rozpowiadał, jak dla wygody kupców i znajomych — trzeba przejście uczynić — a Marcin słuchał, przyglądał się, rozważał, i wreszcie, gdy brat go pożegnał i odszedł — jeszcze tam pozostał.

Na twarz mu uśmiech wrócił, popatrzał za Tomaszem, i siekierkę wyjąwszy z za pasa — jął świerk rąbać.

— Jakeś chciał — próżniactwo rzucę. Najprzód do drogi się wezmę! — mówił do siebie ze śmiechem. Rąbał, aż z trzaskiem świerk się w potok zwalił.

— Teraz do mnie ino sokoły przylecą, mówi Marcin — i tylko tęcza za most będzie. No, już kto przez tęczę do mnie przyjdzie — temu sprzedam nawet siebie!

Zatknął za pas siekierkę — ruszył zpowrotem, i rozmyśla.

— Co ci ten rozumny drugiego kazał uczynić? Aha, muzykę do wody cisnąć.

Jakci to on wiedział, co fujarka lubi! Mądry, bestja!

Wyjął z zanadrza fujarkę — w potoku ją odmoczył, i grając, poszedł dalej. Wieczór nadchodził, ociężałe miodem pszczoły ściągały się do szczelin, mrucząc — i obsiadły skały — Marcin na nie popatrzał, i jął do nich prawić:

— Słyszałyście, dzieci, jako on wam groził. Kurzyć was, i z domu wyganiać, w niewolę zamknąć. Trutniom żądła sprawcie, i naślijcie ich na niego! A ja was nie dam, ani waszej złotej krwi na targ nie poniosę— ino mi grajcie i śpiewajcie.

Za góry chyliło się słońce — spojrzał na nie.

— Legaj spać czeladko — nie będziesz mi kapusty ni cebuli uprawiała — nie bój się — hodowałaś mi zioła i kwiaty — i hodować będziesz!

Nad potokiem wśród ziół się wyciągnął, i było w dolinie granie wieczornych pacierzy pszczół i fujarki — a zewsząd cisza, ino pstrągi pluskały i strumień na głazach mruczał.

Wieczór się czynił. Marcin fujarkę odłożył i założywszy ręce pod głowę, rzekł:

— Mądry Tomasz. Powiedział, że wstyd i głupota w jaskini mieszkać, kiedy tu w owych miętach i melissach tak miękko i wonnie, a pod niebem tak rozkosznie.

— Juści zrobię — jak radził!

I zasnął!

HRYC

Jest średniego wzrostu, szczupły, chudy, żylasty. Nie znaczy to, żeby był silny i zdrów. Pracuje mało i powoli i cierpi chronicznie na febrę, diarję i rany przewlekłe. Jest blondyn, zarost miewa rudawy, oczy szare, szczęki wydatne, czoło niskie, skronie zapadłe. Odzież nosi burą, zgrzebne płótno, samodziałowe sukno, na nogach z łyka chodaki. Prawie go nie widać na tle omszonych pni boru, kiści szuwarów, roli zoranej, stogu siana, i szarej chaty — wszystko ma jeden pokład — siwy. Hryc się dopasował do swojego kraju. Urodził się we wsi, złożonej z dwóch szeregów szarych chat — wśród szarych pól, z jednej strony na horyzoncie stał i stoi szary bór — z drugiej, jak okiem zejrzeć, sianożęcie.

Niebo rzadko bywa czyste — pełne oparów od błot, chmurne, blade od tej wilgoci — szarzeją strzechy, ściany budynków, nawet ludzkie twarze. Kraj jest równy, płaski,

monotonny. Wody w rzece płyną leniwie, ledwie dojrzysz prąd. Wiatr jakiś senny kołysze zbożem i borem, deszcze padają drobne, mżące.

Gdy Hryc się urodził, chata nie miała komina, tylko dymnik. Pod niskim sufitem dym się słał w szare obłoki i całe wnętrze pokrył tą barwą. Gdyby Hryc miał narodową barwę, powinnaby być szara. Ale Hryc nic nie wie o jakichkolwiek narodach i barwach. Na zapytanie, kto jest, odpowiada: tutejszy. Ochrzczon imieniem Grzegorza, odpowiada tylko na: Hryc, nazwany nazwiskiem urzędowem, protestuje, bo ma drugie przezwisko, pod którem we wsi jest znany. Zasady religji Hryca ograniczają się do obchodzenia postów i próżnowania uroczystego we wszystkie rzeczywiste, lub obyczajowe święta. A jest tych świąt przeobfitość, bo Hryc jest konserwatysta i zachowuje nawet pogańskie. Hryc tylko wtedy pracuje, gdy musi, tylko wtedy nie kradnie, jak nie ma okazji, ale Hryc nie złamie nigdy postu, nie zapomni żadnego święta, i nie opuści żadnego zabobonu. Hryc się niczego nie boi, ani Boga, ani piekła, ani ognia, ani wody, ani śmierci, ani choroby, ani zwierza,

ani sądu — Hryc się tylko boi znachora, złych oczu i przestąpienia obyczaju zabobonu.

Żywot Hryca rozpoczął się w koszyku owalnym, uwieszonym na sznurze do okopconej belki pułapu. Od najwcześniejszej młodości zahartował się na dym, zaduch i robactwo. Gdy protestował przeciw tym plagom krzykiem i płaczem, ktoś z chatnych, gwoli własnemu spokojowi puszczał w huśtawkowy ruch koszyk, gdy i to nie pomogło — matka odrywała się od dzieży, lub garnków i dawała mu pierś. O usunięciu robactwa lub ochędóstwie nikt nie pomyślał, a wreszcie i Hryc się z tem oswoił — jak i dorośli.

Gdy wyrósł z koszyka, siadywał całemi dniami na ławie, w koszulinie tylko. Brzuch miał odęty od kartofli, włosy w strąkach, twarz umorusaną. Cały dzień jadł chleb czarny, patrzał bezmyślnie przed siebie, i drapał się. Potem z wiosną wypełznął przed chatę i na ulicę. Bardzo prędko oswoił się z błotem i kurzem, znalazł kompanów, nauczył się bić psy, koty i dobierać się do ogródków sąsiadów po marchew, mak, ogórki i rzepę. Poznał też prędko co

jadalne, a co — nie, parę razy tylko się podtruł, potem już nie próbował ani blekotu, ani lulku — przestał też żywić się w matczynym ogródku, bo za to bywał bity. Rabować warzywo sąsiadów wolno mu było — byle się nie dał złapać.

Parę takich lat spędził Hryc na dworze, parę zim na ławce w chacie, aż mu wreszcie sprawiono spodnie, siermiężkę i pozwolono zimą bawić się na ulicy. Stopień ten swego rozwoju odchorował długą gorączką, i wyszedł żyw z tej naturalnej selekcji, jako typ okazowy. System leczenia był dalszym ciągiem tej selekcji — czyniono co można, żeby go nauczyć, oparł się wszystkiemu i zwycięsko wyszedł z dzieciństwa z dniem, gdy rozpoczął okres pasterski.

Okres ten trwa lata, przygotowuje grunt dla dalszego życia, wyrabia charakter, tworzy już zupełnego Hryca. Pasał pokolei: gęsi, klacz na lince, bydło w lesie, woły ojcowskie po cudzych łąkach. W dziecku jest olbrzymi zapas sił, ciekawości i potrzeby czynu. Pasając, Hryc to wszystko musiał w sobie zatracić, lub wykrzywić. Z obowiązku próżnował i zrazu się nudził — więc począł wynajdywać robotę. Psuł i niszczył

wszystko, co mu się zdarzyło. Łamał gałęzie, nakładał kamienie w koleje na drodze, wybierał jaja z gniazd, dręczył pisklęta, odrapywał drzewa z kory, ukręcał wierzchy brzozom, podpalał las, spasał trawę po łąkach, ścinał zielone kłosy. Gdy się w ten sposób nabawił, spał, lub leżał brzuchem do góry i przemyśliwał, gdzieby coś zdobyć i zjeść. Pożerał mnóstwo surowizn, pił wodę z rowu, źle był odziany, często przemoknięty do nitki i siny z zimna. Rósł powoli i nigdy się nie czuł zdrów, syty i wypoczęty, ale wreszcie zasmakował w swem próżniactwie i wyrobił się na dobrego pastucha. Bydło miał siwo-bure, zmyślne jak on w poszukiwaniu dobrych zakątków — naturalnie cudzych. Pasał ukradkiem po zbożach sąsiadów, pasał najchętniej po dworskich polach, nauczył się wykrętów, znał czas i porę na szkodę; — złowiony umiał się wykłamać, wyprosić, przysięgać i zaklinać się, lub chyłkiem zmykać. W owym też okresie do całokształtu charakteru Hryca przybyła miłość — namiętność, której będzie wierny do grobu. Ale to nie kobieta, nie koleżanka pastuszka — nie. Hryc od dziecka patrzy w chacie, jak ojciec łaje i bije matkę, widzi,

jak wypomina starej babce, że za długo żyje i darmo je chleb; dla Hryca życie płciowe nie jest tajemnicą i ciekawością, Hryc wie, że kobieta w chacie potrzebna i ożeni się jak inni, żeby mieć robotnicę, praczkę i gospodynię; wie, że gdy jedna umrze, dostanie darmo drugą, i nawet, że zrobi na tej zmianie dobry interes. Hryc nie kocha ojca, ni matki — ciężarem mu już być poczynają. Hryc nie pożąda jednej dziewczyny — weźmie za żonę każdą taką, która jest zdrowa, pracowita i ma dużo płótna. Hryc nie ma przyjaciela, ni powiernika, na rodzeństwo patrzy jak na wrogów przy podziale ojcowizny—będą go kiedyś bić i sądzić. Hryc nie kocha nikogo i nic, tylko swe „byczki".

Jest to para wołów siwo-brudnych, któremi ojciec orze, a które Hryc pasie. Jeśli marzy o czem kiedy, to o tem, jakby je wypaść na pokaz całej wsi, żeby niemi orać kiedyś, żeby je wodzić na jarmark. Jeśli co ratuje w chorobie — to te woły, jeśli dla czego się spieszy, lub fatyguje — to dla sytości i wygody tych wołów, jeśli po czem płacze i rozpacza — to po nich tylko, gdy zdechną.

I przez to kochanie, przez zapatrzenie i myślenie o tych wołach, z biegiem pastu-

szych lat Hryc nabiera cech podobnych do swych faworytów. Gdy wyrasta na mężczyznę, ma chód powolny i wlekący, ma oczy mgławe i senne, ma ruchy ociężałe i apatyczne. Gdy się zabiera do roboty, czyni to opieszale, ociąga się, jakby czekał dźwignięcia ościenia, by ruszyć. Nie znać w jego zajęciu ochoty, nie pośpieszy nigdy, ale się i nie zbuntuje ani znarowi. Wlecze się — mus go napędza, byle go nie gnano, staje i kładzie się, mniejsza gdzie: na środku zagona, na wygonie, na gnoju, spędzony gwałtem potrzeby — wlecze się znowu dalej. Nawet gdy jadło spożywa, czyni to tak powoli i długo, jakby przeżuwał strawę. Na wszelki postęp i nowiny kultury zapatruje się także, jak jego wół na nowe odrzwia obory, upiera się, patrzy, węszy i obchodzi nieufnie. Trzeba go gwałtem lub podstępem przymusić.

I oto po dojściu do pełnoletności Hryc jest skończonym typem. Umie pasać, kosić, orać; zdaje mu się też, że umie czytać i pisać, bo spędził parę zim w szkółce. Umie kraść i kłamać, już się bije z ojcem, lubi ogromnie wódkę, włóczy się nocami do dziewek, chadza czasami na zarobki, a co święto

do miasteczka. Wtedy czekają Hryca dwa ważne wypadki życiowe. Musi odbyć służbę wojskową i ożenić się. Zwykle nawet to drugie poprzedza pierwsze. Żenią go, żeby w razie, gdy chata go straci na lat kilka, była chociaż baba w jego zastępstwie do roboty, on zaś chce zostawić w chacie kogoś, co dopilnuje jego części dobytku i mienia. Zresztą chce się upić i być przedmiotem gawęd wojskowych. Żeni się tedy, a raczej żenią go matka i kumoszki. Hryc przyjmuje wybór apatycznie, spełnia wszystkie zawiłe ceremonje wesela, i w parę tygodni po ślubie odchodzi na kraj świata, na służbę wojskową. Nikt po nim i on po nikim nie smęci się i nie tęskni — pisuje zrzadka listy, w których wylicza i pozdrawia całą rodzinę, a kończy prośbą o pieniądze. O sobie nie donosi nic, i o nic nie pyta, gdy powróci, mało co ma do opowiadania. Jakiś czas, krótki, rusza się raźniej, strzyże krótko włosy, zachowuje białą koszulę i buty — potem przeistacza się znowu w Hryca. Zapomina wszystkiego, co go tam uczono, co widział i słyszał, gdzie był. Szara barwa jego kraju powleka jak śniedzią jego postać i duszę. Staje się Hryc dodatkiem do kraj-

obrazu, do sochy, do wołów, niczem się nie różni od pradziadów. Jak oni, nie ma historji, ni sławy złej, lub dobrej — ni śladu nie znaczy w ruchu świata, a nawet nie wie o jakichkolwiek zmianach. On orze sochą drewnianą, młóci cepem, ubiera się w domowy len i wełnę, obuwa się w łyko, grosz chowa po dziuplach drzew, potrzeby ma prawie żadne, o dobrobycie żadnego pojęcia, i tak żyje lata — ile? — nie potrafi powiedzieć.

Nigdy zbytnio na los nie narzeka, klęski znosi stoicznie, nie jest ani wesoły, ani ponury, marzy o wódce i bezustannem próżnowaniu — więcej niczego nie pragnie, nawet sytości.

Nazywa się Hryc, ale ma nazwisko: legjon i spotkać go można w każdej z szarych wsi na wielkiej przestrzeni kraju, oblanej sennemi wodami Styru, Prypeci, Horynia, Słuczy, Jasiołdy, Muchawca. Hryc nie wie, jak olbrzymią ma ojczyznę i jaką mnogość braci, jak nie wie o tem dżdżownica, polna mysz, kret, karaś i wróble, co razem z nim na tej ziemi się rodzą, żyją i przechodzą.

BAGNO

Ludzie z Ciemniewa mieli dosyta ziemi, ale mało z niej korzyści. Gdy się trafił bardzo suchy rok, bywało jako tako, ale zwykle od wiosny do jesieni babrali się w błocie.

Ulica we wsi nie wysychała prawie nigdy, rola chowała okazałe skrzypy, lub w zbożu bujała miotła i wcale niepoślednie oczerety, wygony dla dobytku były grząskie, łąki istna topiel, na której wyciekała zrzadka ostra osoka i kwitła bawełnianka; a byle kto opuścił rok swój zagon — porastał mu sitowiem.

Był i lasu kawał, ale ledwie podrósł, sechł górą i przewracał się między kępy — w mokradło.

Z wiosną wszystko stało pod wodą, czekano długo z orką i siewem, żeby słońce i wiatr wypiły nadmiar wilgoci; po dołach woda stała całe lato, gniła, porastała pleśnią, ale ujść nie miała dokąd.

Najstarsi ludzie nie pamiętali, żeby kiedy było inaczej. Były tylko legendy, że niegdyś wody biegły, łany były żyzne, ale o tem tylko matki opowiadały dzieciom do snu i tylko bardzo małe dzieci w te baśnie wierzyły.

Gdy zaś nieco podrosły, wierzyć nie mogły, bo widziały i odczuwały tylko rzeczywistość. Bywały głodne, chore, słabe i mdłe, nie miały ochoty ani do zabawy, ani potem do pracy.

Pracy w Ciemniewie zresztą nikt nie lubił i każdy zbywał z musu, jak nikt nie lubił czystości, bo wiecznie się nurzał w błocie, a czystej wody nie miał nawet do picia.

Rodzili się, żyli i umierali w bagnie i tak wreszcie do tego nawykli, że przestali swe położenie odczuwać, o niem myśleć i mówić, na nie szukać rady.

Tak było, tak im Bóg przeznaczył, a wszystko z woli Bożej i winy złych sąsiadów.

Bo gdy było kogo spytać, skąd się ten kraj tak zabagnił, objaśniono, że sąsiedzi niegdyś spadek wód swych tak skierowali, że zatopili ciemniewską ziemię i zniszczyli całą gospodarkę.

No i tak było. Ludzie, żeby się ratować od wilgoci, pili wódkę; żeby się ratować od głodu, kradli, lub wędrowali w obce strony za chlebem; dzieci stawały się coraz wątlejsze i mniej zdolne, kobiety coraz swarliwsze i niechlujne, a wszyscy razem coraz apatyczniejsi, leniwsi i głupsi.

Z roku na rok coraz więcej zagonów porastało sitowiem, bo kto był słabszy, opuszczał niewdzięczną rolę. Namnożyło się włóczęgów, oszustów, żebraków i złodziei, a wreszcie w Ciemniewie i ten, co za bogacza uchodził w porównaniu z sąsiadem z za bagna nic nie miał i nic nie potrafił.

Ludzie, którzy z Ciemniewa wędrowali w świat, przeważnie nie wracali do ziemi swej; zdarzyły się jednak wyjątki.

Wrócił jeden, który szewstwa się nauczył i trochę grosza zebrał. Osiadł w rodzinnej wsi, rzemiosłem się zajął i innych fachu nauczyć chciał.

Ale mu się nie wiodło, ledwie sam mógł przeżyć, bo obywatele ciemniewscy chodzili boso, mawiając, że szkoda butów na błoto. Z tej samej racji i nóg nie myli, mawiając, że i tak znowu się zabłocą.

Wrócił potem jeden, co począł namawiać, żeby się dzieci uczyły; przywiózł jakichś książek i ofiarował się opowiadać i uczyć, jako gdzieindziej się dzieje i co ludzie ze skał i piasku i wody zdobyć potrafią.

Obywatele ciemniewscy zlękli się, że nauką dzieciom w głowach poprzewraca, że oni sami swe dzieci potrafią wychować, a już stanowczo wszyscy zaprotestowali przeciw lekcjom, gdy nauczyciel zażądał, aby mu zato dano strawę i kilka groszy na odzież. Bezwstydnik i wyzyskiwacz! Jakby go bajanie o jakichś zamorskich wymysłach co kosztowało.

Nauczyciel tedy, żeby żyć, za grajka do tańca się wynajmował, bo tańczyć lubiono w Ciemniewie, choć boso, i mógł skrzypiciel z głodu nie umrzeć.

Wrócił wreszcie trzeci i ten był najgorszy. Dowodził, że wszyscy: bogaci i ubodzy, wielcy i mali, słabi i silni, mądrzy i głupi, powinni wziąć za łopaty i przekopać wielki kanał przez wszystkie grunta ciemniewskie, żeby wody zgniłe znalazły ujście.

Ten oburzył wszystkich. Bogaci powstali, że im każe pracować wespół z motłochem; ubodzy, że wymaga od nich trudu bez za-

płaty; wielcy, że ich śmie uczyć; mali, że ich wyzyskuje; mądrzy, że ich rady przedewszystkiem nie zasięgnął.

Stał się przedmiotem drwin, krytyki, wzgardy i potępienia, i tak go zahukali, że się w gromadzie pokazać nie mógł, ani odezwać, i ledwie znalazł kąt u młynarza na wiatraku, a zarabiał połowem pijawek w bagnie.

Bowiem bagna ciemniewskie obfitowały w pijawki, i był Ciemniew z tego towaru sławny, a obywatele z tej sławy dumni. Miały ustaloną szeroko markę ciemniewskie pijawki.

Tych trzech malkontentów rozbudziło w Ciemniewie patrjotyzm.

Obywatele skupili się wobec tych napaści, bohatersko stanęli na straży tradycji: bagna. Śpiewano o niem pieśni tęskne, przeklinając złych sąsiadów, znaleźli się wieszcze, opiewający piękność kwitnących łanów bawełnianki i poezję spleśniałych moczarów, i dostojność ubóstwa, i wielkość rezygnacji na zrządzenie losu, i zasługi rodów, które w takich warunkach nad inne się podniosły. Sitowie i skrzypy, mech i trzciny, stały się czemś symbolicznie świętem i nietykalnem,

stygmatem męczeństwa Ciemniewa, koniecznością doli!

Złym obywatelem, zdrajcą był ten, co śmiał tknąć takich pamiątek i klejnotów.

Malkontenci ścichli, powinni byli się nawrócić, przynajmniej zaprzestać wywrotowej roboty.

Uczynili jednak rzecz niesłychaną: ożywili Ciemniew. Gawędom nie było końca, szczególnie projekt tego ostatniego był przedmiotem ożywionych rozpraw: Wszystkim kazać pracować! Tyle ziemi zająć kanałem!

Bogaty Jan czerwieniał z oburzenia.

— To ja, panie, jak cham z łopatą mam pracować. Kopać rów! Mnie i tak dobrze. Cóż to! Jakiem prawem! Kto mnie zmusi!

A leniwy Paweł mówił:

— At, przywykło się już! I tak wieku dożyjemy.

A biedni i małorolni klęli:

— Ale będziemy kopali, żeby bogacze jeszcze bogacieli! Sobie osuszym zagon, a im sto! Niedoczekanie! Za ich pieniądze i namową ten szczeka, nas tumani!

A inni perswadowali:

— Osuszyć! Aha, a wtedy pijawki przepadną! Pijawki same się hodują, i my z nich

zysk mamy! Bóg dał pijawki nam, jak innym winnice! Zmieniać losu nie godzi się. Mamy przykazanie mnożyć się i tak tu trwać. Tak niech będzie!

Jeden tylko z poważnych obywateli milczał i rozmyślał nad projektem nowatora, i do oburzenia słowa nie dodawał.

Był zamożny, ale zgryźliwy i wieczny malkontent. Osada jego i pole było na skraju i względnie najsuchsze. Zapobiegliwy też był i w robocie zawzięty. Przez wiek swój cały borykał się z bagnem i ciemniewskiemi obyczajami.

Osadę co rok grodził, sad założył, rowy, choć małe, kopał. Ale też nie miał nigdy spokoju, ani skutku swych starań. Co zima niszczono mu płoty na podpałki, co lato wykradano jeszcze zielone owoce, co jesień zadeptywało bydło i pastuszki rowy, a sąsiedzi ze złośliwym triumfem drwili i cieszyli się każdą jego klęską, jako dowodem, że wbrew tradycji czynić — głupstwem jest.

Mawiano, że Barnaba słusznie zawody i straty ma, bo tylko demoralizuje dzieci jabłkami, psuje pastwisko rowami, i płoty grodzi przez chęć wywyższenia się i chciwość.

Barnaba za młodu miał zapał i wiarę, potem zawziętość uporu, wreszcie sponurzał i wilkiem na ludzi patrzał. Chciał kilka razy wszystko rzucić i wywędrować, ale został, bo już siły naderwał, nowego życia nie miałby mocy rozpocząć.

Nie odzywał się inaczej o Ciemniewie, jak złorzecząc, ale trwał.

I było jeszcze dwóch ludzi, którzy nie powstawali na nowiny. Ci już nie uprawiali swych zagonów w najniższej kotlinie, bo ze szczętem były sitowiem porosłe, tak, że ich nawet nikt nabyć nie chciał. Ludzie ci mówili o wędrówce i zbierali się do niej, ale jakoś zebrać się nie mogli. Łowili pijawki, a gdy zebrali kilka groszy, niby na drogę, szli pić na pożegnanie, a gdy się upili, to szli na te swoje zagony nieurodzajne, padali na nie i płakali.

A gdy wytrzeźwieli, szli znowu na pijawki.

Nazywano ich: te „dwie pijanice!“

Otóż, po gawędach tego nowatora, pijanice, dobrze mózgi zakropiwszy wódką, poszli z łopatami na łąkę i zaczęli kopać niezdarną dziurę.

Trafili właśnie na księżą łączkę, a czas był przed samym sianokosem.

Wyleciał ksiądz z gwałtem, wylecieli mu w pomoc gromadą wierni. Zbito i odpędzono pijaków, a po Ciemniewie pomstowano strasznie na świętokradców.

I okazało się, że robak anarchji toczył społeczność, bo Barnaba, szewc, grajek i ten najgorszy nowator, wszyscy się za pijakami ujęli.

Barnaba twierdził, że z winy księdza kradną mu dzieci jabłka; szewc, że ksiądz powinien wpływać na parafjan, żeby nosili buty, kiedy sam boso nie chadza; grajek przypomniał sobie te szkolne zakusy, i dowodził, że na plebanji byłaby stancja na szkołę, a nowator twierdził, że ksiądz zamiast wypędzać pijaków, powinien był wziąć sam łopatę i linje kanału wytknąć.

Zawrzało w Ciemniewie jak w garnku.

Bo prawdę rzekłszy, ksiądz był przykładny. Prawie codzień odprawiał mszę, choć oprócz kilku bab nie było nikogo w kościele, co niedziela miewał kazanie z książki, i przestrzegał parafjan, żeby się strzegli błędów manichejczyków i gnostyków; każdego ochrzcił i metrykę wpisał, dawał śluby i grzebał umarłych, był nieubłagany dla upadłych kobiet, zalecał poddanie

woli Bożej biedakom; podczas kolędy przypominał bogatym „ucho igielne“, a kościół miał cały dach i nowe organy.

Co więcej mógł uczynić w Ciemniewie?

Więc wskutek ostatniej awantury z pijakami wszyscy połączyli się solidarnie, żeby wichrzycieli z pośród obywateli wykreślić.

Grajek stracił klientelę weselną, szewcowi cofnięto wszelkie obstalunki, Barnabie zabroniono kopać rowy nawet na swojem, a młynarzowi zagrożono bojkotem, jeśli nowatora trzymać będzie na wiatraku.

Pijaków wcale w obręb osad nie puszczano.

Uczyniwszy ten akt sprawiedliwości i wyraz opinji w czyn ująwszy, odetchnęli obywatele i poczuli w sobie dumę zbawców ojczyzny.

A wyrzutki, pozbawieni sposobu do życia, za radą pijaków — poszli szukać zajęcia przy pijawkach.

Po błotach, w mętnej, rdzawej wodzie lęgło się tego obficie — i czatowało na żer, zawsze też głodne.

Owych pięciu tedy siadało na kładkach nad wodą czarną, zanurzało w nią obnażone nogi — krew swą dając jako przynętę. Nie

robili rachunku swej krwi, zmienianej na złapane na nią pijawki, bo i coby im z tego rachunku przyszło.

A gdy tak siedzieli, czekając, aż „towar" przynęcą, patrzyli przed siebie po martwej, gnijącej swej ziemi, po płonnych wygonach, grząskiej topieli, rdzawej wodzie, łanach bawełnianki i sitowia, i zwykle milczeli znękani, znużeni swą bezsilnością, zgnębieni myślą prac marzonych. Czasem, rzadko, wyrwała się któremuś łza gorzka z pod powiek, drugiemu przekleństwo, innemu jeszcze jakiś szalony pomysł nieziszczalny, a po takim wybuchu spuszczali głowy i znowu tylko czatowali na towar.

Nowator stale milczał i najbystrzej rozglądał się po moczarach. Ten ze wszystkich najsilniejszy, był i najzdrowszy, ile że w Ciemniewie najkrócej bawił, a najdłużej wędrował po świecie.

Bawełnianki przekwitły, zrudziały oczerety, coraz więcej mgieł jesiennych wisiało nad bagnem, pijawki się ukryły w mule, woda rankami była lodowata.

Wyrzutki zostali pozbawieni zarobku. Grajek, szewc i dwaj pijacy postanowili iść w świat. Nowator kędyś przepadł.

Widziano go, że brodził po topielach najniższych, po szyję zapadając.

Pewnie mu się rozum pomieszał, i — utonął.

Ci czterej tedy ruszyli w drogę, omijając osady, ale nie mogli wyminąć osady Barnaby na skraju i on ich dostrzegł i zatrzymał.

— Dokąd to idziecie?

— Ot przed siebie. Nie mamy gdzie zimować.

— Zimujcie u mnie. Zebrałem pewnie ostatni chleb, bo że mi rowy zadeptali bydłem, a nowych kopać nie dali — zasiałem w błoto, i nie spodziewam się żąć. Ale com zebrał, starczy dla nas do wiosny. Nie odchodźmy, póki można wytrzymać.

Zostali chętnie i mało co chleba jedli, żeby najdłużej móc jeszcze trwać na swej ziemi.

Aż raz, gdy już mróz bagna pomurował, przyszedł i ten nowator, którego żywym nie spodziewali się oglądać. Przyszedł z płomieniami w oczach, z drgającemi usty.

— Jesteście! Nie zmarli, ani uszli! Ilu nas? Pięciu?

— Sześciu! — rzekł Barnaba.

— Ty nie nasz! Ty masz coś do stracenia! Tobie będzie szkoda sadu i domu. My nie mamy nic, wożemy zginąć. Ale zrobimy!

— Co zrobimy?

— Spuścimy wody. Osuszymy bagno.

— My? w kilku?

— My! Schodziłem, zbrodziłem topiel z końca w koniec. Wodę trzy garby trzymają. Te trzy garby przekopiemy z wiosną. Pomogą nam kry, wody wezbrane! Dwóch musi garb przekopać i zginąć. Porwie nas prąd lub zabiją ludzie.

— Ludzie! Za co?

— Bo jeden garb za plebanją jest, a gdy nurt się rzuci, folwark księży zniosą wody. Tam ja pójdę.

— I ja! — rzekł jeden z pijaków .

— A druga tama na końcu warzywników jest. Tam ją umyślnie kiedyś ludzie usypali. Mocna jest, z gruzu. Sadzawkę tam zrobiono dla wygody do polewania kapuścianych głąbów i hodowania gęsi pod okiem gospodyń. Kto tę tamę pójdzie rwać, tego kijankami i błotem utłuką wszystkie baby i wszystkie gęsiarki.

— Tam ja idę! Choćby z muru była, rozwalę — rzekł Barnaba.

— I ja tam! Babom się nie damy! — zawołał grajek.

— A trzeci garb przy szynku jest. Tam robota najlżejsza, bo gdy my w górze pęd wodzie damy, to tam groble byle tknąć, zwali się nurt na karczmę. Ale tam i śmierć najpewniejsza, bo szynkarz całą ludność spoi i na pomoc sobie skrzyknie.

— Hej, tam my, bracia! — rzekł szewc do pijaka.

— A damy to rady wszystkiemu? — rzekł grajek.

— Będziemy wątpić, to nie damy. Będziemy wierzyć w swą moc — dokonamy! — odparł nowator.

Zimowali tedy u Barnaby, a tak siedzieli cicho, że wszyscy w Ciemniewie myśleli, że w świat poszli. Oni zaś nocami chodzili i badali miejsca swej roboty, radzili, szykowali narzędzia, nabierali sił i z gorączką czekali czynu.

Wiodło się im. Śniegi spadły sążniste, zima trzymała twardo, ciężko.

— Odrazu puści. Woda nam pomoże — mawiali.

I stało się, że raptem uderzyły w zimę i wiatry ciepłe, i słońce. Aż zadygotała zie-

mia, rwąc mróz i śniegi, aż tumanami pary okrył się cały Ciemniew, aż kotłowało po topielach.

W samą Noc Wielką, gdy z kościoła dzwony wołały na rezurekcję — owych sześciu straceńców wyszło do roboty. Mieli stalowe łopaty i topory, i mieli straszną moc w sobie. Pożegnali się na rozstaju i wpadli w mgły, każda dwójka brnąc na swój posterunek.

Szare, nieprzebyte tumany mgieł wisiały nad Ciemniewem. Błądzili ludzie, do kościoła nie mogąc trafić, błądzili — szukając zpowrotem domu. W tumanach coś huczało, trzaskało, wyło, szumiało. Kto żył, chronił się do ciepłych i zacisznych izb, zamykał drzwi i okiennice — czekał, czekał ze strachem ranka.

Ledwie szarzało, gdy rozległ się z kościoła dzwon na trwogę. Bliżsi, odważniejsi — wyszli na to hasło — wnet tłum biegł ku plebanji i huczał, jak huczy żywioł. Jedni lecieli na miejsce, gdzie stała plebanja, inni do gęsiej sadzawki. Dzień przedzierał mrok mgieł, i ujrzeli dwóch ludzi na tamie, rozrywających zajadle ziemię i gruz, drących tę przeszkodę ramionami zbrojnemi w topór i łopatę. Tłum zawył, rzucił się ku nim.

Barnaba łotr, zbrodniarz! Grajek gałgan! Precz od tamy! won! nie ruszać!

Posypały się ku nim klątwy, potem bryły lodu, kawałki drzewa, co kto miał pod ręką. Pojmać ich nie śmieli, bo tych dwóch otaczał nurt spieniony a wtem jeden pocisk trafił w grajka — padł. Barnaba go poderwał, ale napór wód rzucił się w przerwaną tamę, obaj zniknęli w wodzie, pełnej mułu, kęp wydartych i pniaków, szczątków plebanji, odłamków kry, szumowin i śmieci . . .

Woda się wdarła na ogrody warzywne, groziła chatom. Znowu powstał wrzask.

— Grobla przy oberży! Przerwać ją, przerwać, bo osady utoną!

Lecieli ku oberży, ale natknęli się na inny tłum, który już tam był, i pijany, znosił co mógł, drzewo, darń.

— Co tu się stało? Co robicie?

— Groblę naprawiamy. Ratujcie! Pomagajcie, bo oberża zagrożona!

— Woda przerwała groblę?

— Te zbrodniarze! Szewc z pijakiem!

— Gdzie oni?

— Szewca szynkarz zastrzelił. Pijak uciekł, ale go dogonią. Nie będzie żyw! Ratujcie groblę!

— Nie ratujcie! Osady woda zajmuje!

Tłum się sekundę zawahał. Napróżno wołał szynkarz, sekunda wystarczyła. Z rykiem, jakby triumfu, bryzgając błotem i pianą, woda runęła w przerwę. Uderzyła o szynk, podniosła się, odstąpiła jakby dla rozmachu, runęła raz i drugi, za każdym razem wyżej.

Za trzecim razem błysnęły na szczycie ciała ludzkie, trzy — jakby po śmierci brały jeszcze szturmem tę ostatnią zaporę, zatrzeszczały spojenia domostwa — runęło. Fala wystąpiła na groblę, żywi odstąpili przerażeni, porwała tylko trupa zastrzelonego szewca i poniosła za towarzyszami.

Tłumy odetchnęły. Osady były ocalone. Woda przez te trzy otwarte wrota szła potężna, hucząca — na niziny poza Ciemniewem, pruła coraz głębszy, szerszy nurt, ściągała do niego ze wszech mokradeł odwieczne pleśnie i mchy, tworzyła z bagien jedną arterję życia.

Dzień stał się jasny. Potężny, wiosenny wicher zniósł mgły, i ujrzeli ludzie rzekę, coraz wspanialszą, czystszą i spokojniejszą. A za nią, na przerwanej grobli stało kilku z gromady, i wołało o czółno.

— Jakżeście się tam dostali?

— Goniliśmy pijaka.

— Dogonili?

— Dogoniliśmy.

— Dawajcie tu. Uratował osadę!

— Zabiliśmy go i wrzucili w wodę!

Tłum milczał. Po chwili ktoś spytał:

— Nowatora nikt nie widział? Musiał być z nimi.

— Był. On zaczął. Het za plebanją.

— No i gdzie on?

— Już niema.

— Kto ubił?

Nikt nie odpowiadał, i tłum milczał.

Ze straceńców nie został żaden, ale i ciemniewskie bagno przestało istnieć.

„WOŁOWY CZEREP“

Był i żył niegdyś w Bagdadzie pewien człowiek.

Nie był mędrcem, bo nikogo nie uczył; ani świętym derwiszem, bo nie żebrał; ani lekarzem, bo nikomu nie radził; ani sędzią, bo w niczem nie wyrokował. Nie był też możnym, ani żadnym naczelnikiem i nawet imienia nie miał żadnego, ani rodziny.

Znał go przecie każdy na rynku i nazywano go „Wołowym czerepem“, a to z tego powodu, że nie posiadał nic więcej, prócz suchej czaszki wołowej, którą z sobą nosił, i na której siadał w słońcu, gdy było chłodno, w cieniu, gdy było skwarno.

Ten czerep, opończa i dywanik do odprawiania modlitw — stanowiły majątek człowieka.

Zajęciem jego było słuchanie cierpliwe i zawsze pełne uwagi każdego, kto mówić chciał.

Zapewne niegdyś pytał, zanim stał się powiernikiem, ale potem stał się ludziom nieodzownym.

Zaledwie się zrana ukazał i usiadł gdzie przy drodze, wnet zbierali się wokoło ludzie i opowiadali mu swe troski, boć radości i mało życie daje, i mniej je ludzie pamiętają, i nie lubią opowiadać, a trosk tyle, co much latem.

„Wołowy czerep" wiedział o wszystkich troskach całego Bagdadu. Szli do niego i zawiedzeni w miłości, i oszukani w handlu, i zbankrutowani kupcy, i okradzeni bogacze, i zlicytowani za podatki, i mężowie swarliwych żon, i nieuznani pisarze, i zazdrośni, i chciwi sławy, — i każdy lał łzy, miotał przekleństwa, plwał żółcią.

A „Wołowy czerep" słuchał uważnie, wywiadywał się o szczegóły, dawał się dosyta naskarżyć, a potem zamiast rady lub pociechy, tylko się do kolan narzekającego kłonił i mówi:

— Dzięki ci składam i błogosławię, synu ojca swego. Dzięki ci składam!

Ludzie nie rozumieli za co dziękuje, myśleli, że się szczyci z ich zaufania i pochlebiało im to.

„Wołowy czerep" dostawał zawsze dosyta daktyli i ryżu, miał zapewniony nocleg u tych, którzy w dzień nie zdążyli mu swych spraw opowiedzieć, i gdyby był rozumny, mógłby żyć w dostatku. Ale — jak się okazuje — rozumny nie był.

Tak żył i był i umarłby bez pamięci dłuższej, gdyby nie wypadek.

Pewnego dnia kalif przejeżdżał w całym majestacie przez rynek. Tłum oniemiał na widok przepychu bogactw, potęgi wielkości, i wśród wielkiej czci i zachwytu i trwogi wzniósł się jeden głos i wołać począł:

— Dzięki ci, panie, dzięki. Błogosławię cię i przodki twoje, i wnuki wnuków twoich. Dzięki ci, panie, dzięki!

— Kto jest ten człowiek i za co mi dziękuje? — spytał kalif.

Skoczyli słudzy, porwali człowieka, jego czerep, dywanik — wszystko, i wnieśli do pałacu.

I stawili go przed obliczem kalifa i opowiedzieli wszystko, co o nim się dowiedzieli.

— Nie znam cię. Za co mi dziękowałeś? — spytał kalif.

— I ja cię nie znam.

— Dlaczegóżeś wołał, dziękczynił i błogosławił?

— Ujrzałem na tobie skarby, na twej twarzy surowość, wokoło ciebie moc niewolników. Więc składałem ci dzięki, że ty, nie zaś ja, dzierżysz te skarby i klejnoty, że ty, nie ja, sądzić i karać i rządzić musisz: że ty, nie ja, musisz karmić, chłostać i dowodzić niewolnikami. Błogosławiłem cię, żeś się ty urodził kalifem, nie ja!

— Ktoś ty? Co czynisz?

— Człowiek wolny jestem i żyję, słuchając niewolników, i dziękczyniąc im. Od młodości słuchałem — i słyszałem. Można słuchać i nie słyszeć — ja słyszałem, i dlatego wolnym zostałem. Słyszałem skargi posiadania — więc nic nie mam, skargi miłowania — więc nie byłem zdradzony, ani opuszczony; skargi zawodów w handlu i urzędzie, w sławie i nauce i zaszczytach — więc nie sięgnąłem po nie. Zali nie słuszna jest, abym dziękczynił tym, którzy mnie od trosk ustrzegli? Zali nie godna, abym ich błogosławił? Gdyby nie oni — byłbym jak oni: znienawidzonym bogaczem, okradzionym kupcem, głodnym pisarzem, oszukanym lub zahukanym mężem, zapracowanym niby dla

siebie, a w prawdzie dla poborców i złodziei obywatelem.

A ty, najwyższy, z woli Ałłacha, władco, gdym cię ujrzał, uczułem dla ciebie najwyższe dziękczynienie, i Ałłach niech błogosławiony będzie, że nie ty przede mną stoisz!

Zadumał się kalif i rzekł:

— Rzekłeś mi mądre słowo. Co chcesz, abym dla ciebie uczynił?

A człowiek odpowiedział:

— Każ mi oddać mój „wołowy czerep", abym na nim usiadł na rynku i słuchał i uczył się mądrości z bezrozumu ludzi. I każ mi oddać mój dywanik, na którym co wieczór klękam do modlitwy. Gdyby Ałłach mej modlitwy nie usłyszał — sądziłbym, że w Bagdadzie już niema szczęśliwego i wolnego człowieka.

DOBRA SŁUŻBA

Kiedy na Maćka czas przyszedł w świat iść i w życie, tak mu matka rzekła:

— Byłci tu raz u nas jeden stary i opowiadał, że jest kędyś, jakaś wielka pani — co u niej najlepsza służba. Gadał, że u niej wiek zbył, nigdy troski ni trwogi nie zaznał. To też wyglądał krzepko i zdrowo, odziany był i obuty, na gębie czerwony — a wesół i sobie rad, że ochota była nań patrzeć, a uciecha z nim pogwarzyć. Pytałam go, jak się owa pani zwie i gdzie panuje — to rzekł: Idźcie prosto, krzynę pod górę — to ją znajdziecie. I tyle — zazdrosny był — nie pouczył lepiej.

Tak ci synku to powtarzam; idź prosto, krzynę pod górę — i szukaj, a po drodze się rozpytaj, i służby spróbuj — to i znajdziesz. Ino unikaj, gdzie się biją i gdzie piją, i gdzie wiele obiecują, i gdzie wiele złota dają, i gdzie wiele gadają. Z takiej służby, to choć wśród nocy uciekaj.

Maciek, było to dziecko niebardzo mądre i wyuczone, więc pani matki słuchał, rady jej wyuczył się napamięć — odział się, chleba wziął w zanadrze, a kij w rękę — i poszedł — odrazu na szeroki gościniec, między obcych ludzi.

Zpoczątku było mu straszno, potem ciekawie zaczął się ludziom przyglądać i przysłuchiwać, tym szczególnie, co o służbie i robocie mówili, a wreszcie i rozpytywać, czy kto o takiej wielkiej pani nie słyszał, u której służąc trosk ni trwogi się nie zazna i wesoło się żyje.

I znalazło się wnet kilku towarzyszy piechurów, co znali taką panią — ale jeden mówił, że ona mieszka pod lasem, a drugi, że w mieście, a trzeci, że nad drogą, a jedna dziewczyna przysięgała mu, żeby z nią poszedł, to go zaprowadzi do wielkiej, dobrej pani.

I Maciek uwierzył dziewczynie, i poszedł za nią boczną drogą, i trochę ku dolinie, ale że jej wierzył, to się na drogę nie oglądał, ani uważał pochyłości.

Zaprowadziła go, prawda, na wielki dwór, do wielkiej pani — w ćmę służby, i stanął tam za dworzanina. Służba to nie

była mądra, ani młodemu trudna. Motyle łowić dla pani, śpiewać i grać, kwiaty zbierać, słodkie miody nosić. Co zebrał, co dostał, dziewczynie wręczał — a ona pani oddawała. Długo Maciek służył i wiernie, nie dospał i nie dojadł — byle dogodzić. Zasług się też nie napierał — czekał, by się więcej zebrało. Tylko się dziwił, że towarzysze często się zmieniają. Służby nie ubywało, ale w dnie obrachunku rzesze odchodziły płacząc lub klnąc, i coraz nowi napływali.

Zaniepokoił się Maciek, poszedł też do kasy. Prosi rachunku — powiadają — rachunku niema. Komuś dawał, kto brał? Idź, przyprowadź dziewczynę. Szuka dziewczyny—zginęła—pyta o nią,—śmieją się koledzy —masz naukę —innej zasługi się nie spodziewaj — i umykaj milczkiem, bo za skargi i pretensje każą ci dozgonnie służyć.

Wtedy Maciek poczuł odrazu, że głodny jest i senny, i zmęczony i słaby, i nie śmiał skargi zanieść — i nie wiedział do kogo — więc poszedł stamtąd precz — szukając gościńca.

Długo błądził i często odpoczywał, bo z mocy się wybił, i raz nawet gorzko się

wypłakał ze wstydu i rozpaczy — no ale przecie na drogę wybrnął i znowu w tłum ludzki się wmieszał. Zostało mu z tej pierwszej służby tyle, że wśród spotkanych dziewcząt wypatrywał i szukał tej zwodnicy, a co mu się która zdała podobną, to na nią śmieciem ciskał, i wyzwiskami ścigał, i jużby żadnej nie uwierzył.

Potem, za tłumem idąc, przystał na służbę do drugiej pani. Dworzec był wyniosły i błyszczący, a dworzanie mieli trąby i rogi, i piszczałki i dęli na jej cześć, ile sił. Nadymali się i czerwienieli, by jeden drugiego zagłuszyć, i być przed panią wyróżnionym, a choć jednej służyli — wzajem się nie cierpieli, i zajrzeli jeden drugiemu, i szpetnie się lżyli, gdy tylko ust trąbą nie mieli zatkanych. Pani też grymaśna była i zmienna. Kto dziś na czele dworzan był, jutro w ciury szedł. Dawała też ucho pochlebstwom, wierzyła w oszczerstwa.

Póki Maciek w małą piszczałkę dął, nikt go nie zaczepiał, ale gdy kunszt posiadł, i na czoło się wysunął, to jakby pod grad i burzę się dostał. Popychali go jedni, szturchali drudzy, podstawiali nogę, by upadł, przedrwiwali, ośmieszali, odsądzali od czci,

do pani z donosami i oszczerstwami szli. Kulił się Maciek, jak pod gradem, głowę w ramiona wtulał, oczy przymykał, uszy zatykał, dął i dmuchał, jak umiał najlepiej — aż nie wytrzymał, i pewnej nocy zbity, zbiedzony, ogłuszony — zbiegł.

I został mu z tej służby wstręt i strach przed trąbą, wszelkiem dęciem — i zerwany głos. A jak znowu na gościńcu stanął, to się zamyślił i zawahał — iść jeszcze i szukać, czy wrócić. Ale tłum go porwał wnet dalej, a on nie czuł się na siłach już iść przeciw tłumu.

A tłum parł się znowu do jakiegoś dworca, popychał się i tłoczył. Tylu ludzi razem jeszcze nigdzie Maciek nie widział; ani tyle i takich robót, ani tyle złota. Dworzanie wychodzili z dworca napęczniali od złota, sypało się, przelewało, dzwoniło wszędy.

To dopiero dobra służba! Ucieszył się Maciek i został, i całą siłą w pocie czoła pracować jął. Do dworca dobudowywano wciąż nowe skrzydła i wieżyce —do najcięższych, najgrubszych robót Maciek stanął, pewny największej zapłaty. Ale w dzień obrachunku miedź i srebrniaki brał. Im więcej, im dłużej pracował, tem lichszy za-

robek dostawał. Inni w tejże płatni złoto garściami zgarniali.

— Czemu tak? — spytał kiedyś takiego szczęśliwca.

— Boś głupi! — odparł ze śmiechem. Najlżejsza robota — najlepiej płatna.

— A za co tyś tyle dostał?

— Za skórę.

— Jakże skórą zarobić?

—Naucz się plwać, to będziesz wiedział.

— Na cóż to plwasz?

— Na co mi każą.

— I ci wszyscy, co ze złotem odchodzą, plwają na rozkaz?

— Nie. Są tacy, co gadają na rozkaz, tacy, co milczą na rozkaz, tacy, co uprzątają niepotrzebne śmiecie, tacy, co usuwają z drogi zawadzających głupców i tacy, co uczą głupców. Wszystkiego dokażesz skórą i językiem. Tutaj pot nie popłaca. Dasz mi połowę zarobku — to cię nauczę.

Maciek z radością przystał. Wziął go kompan w naukę. Zpoczątku Maciek niepojętny był, plwać nie umiał, gadać, co nieprawda, nie chciał, a milczeć po prawdzie nie potrafił.

Uprzątać nie było ciężko, ale cuchnące bywały śmiecie, i grubiańscy głupcy, którzy po karku mu deptali, żeby się podwyższyć. Ledwie go kompan do pierwszej wypłaty zatrzymał.

Ale gdy dostał wiele złota, choć się podzielił, porwała go chęć jeszcze tę połowę zebrać — a gdy ją zebrał — drugie tyle mieć, a gdy kieszenie napełnił, miech poszył, a gdy miech napełnił, w ziemię go zakopał, i drugi większy sprawił. I już mu się ta służba podobała, że szczycił się plwaniem, szanował cuchnące śmiecie, żadnej złej woni nie czując, a radował się, gdy na karku i plecach stopy gbura czuł.

Nareszcie pewnego dnia złoto zebrał i przekonał się, że więcej nie udźwignie. W pracy tej też, chociaż niby lekkiej, wiele czasu zbył—i odpocząć, a używać była pora.

Zebrał się tedy, złotem objuczył, i na gościniec się wydostał. Ale tam na skraju siadł i począł medytować.

Miał zamiar wstecz się wrócić, odwiedzić po drodze owe dwa dworce znajome, pochwalić się zarobkiem — i do matki wrócić.

Ale teraz dopiero ujrzał, że ta powrotna droga stromo w górę szła.

— Jakże to! — pomyślał. Miałem iść prosto, krzynę w górę — a tom w dole, a gościniec jak wąż się wije. Kędym to zaszedł?

Jakże z temi ciężkiemi sakwami pod tę górę się drapać — i stai nie ujdę. A żebym je nawet zostawił — to z czemże wrócę, czem się pochwalę? Toć moja dobra służba cała w tem złocie. Toć moje wszystko. I poco wracać? Nie głupim motyle łapać i śpiewać, nie głupim w trąbę dąć. A choćbym chciał — już nie potrafię. Odpocząć mi się chce. Pójdę jeszcze krzynę przed siebie — sam sobie dworzec uczynię i będę panować. Ludzie jeszcze kędyś idą, zobaczę dokąd.

Dźwignął się i poszedł. Ciężyły mu nieznośnie złotem wypchane sakwy, powoli się posuwał, odpoczywał często — bo i do czegoż miał się kwapić — służby i zarobku nie szukał, nic nie potrzebował.

Wszyscy, co z nim tą drogą szli — jak on się nie spieszyli, jak on przeważnie objuczeni byli, zmęczeni, zadumani i milczący. A droga nudna była, płaska i szara, bez żadnych już rozstajów — jedna.

Zdziwił się Maciek i ucieszył, gdy nagle za sobą śpiew posłyszał — aż się obejrzał.

Lekkim krokiem i bez żadnego tobołka szedł starzec, krzepki i zdrowy, na twarzy czerwony, z jasnością wesołą w oczach. Pojrzeli na siebie i zagadali.

— Od gór idziecie? — spytał Maciek.

— Z samego szczytu.

— Matczyny mój dom tam przy drodze.

— Znam. Przechodziłem tamtędy razy parę. Prosto stamtąd — krzynę pod górę do mojej pani idzie droga.

— Jakże to? Ja na gościniec też wyszedłem i tu jestem?

— Boś na zachód słońca poszedł, a ja na wschód.

— Dobrą miałeś służbę?

— Przyjrzyjmy się w źródełku. Stary byłem jakem cię widział w kołysce, a dziś ty starzec przy mnie.

— Byłeś tam, gdzie śpiewają i motyle łapią?

— Byłem — pojrzałem, pośmiałem się i odszedłem.

— A byłeś tam gdzie trąbią?

— Byłem, pośmiałem się i odszedłem.

— A byłeś tam, gdzie złoty dwór?

— Byłem, zapłakałem i odszedłem.

— A ja wszędy służyłem.

— Toć widzę po tobie. A teraz wiesz, dokąd idziesz?

— Dworzec sobie kupię i będę panować.

— Nijakiego tu dworca do kupienia i panowania niema.

— Do kogóż i poco ty idziesz?

— Ja idę do drugiej, wielkiej pani z pismem od mojej. W mojej służbie czuwanie było obowiązkiem, zasnąć mi się chce spokojnie i długo. List oddam — pościel dostanę. Hej, będęż dopiero śnić.

— Niewieleś też nazbierał w tej służbie.

— Dzięki Bogu lekko mi.

— Pomóż mi sakwy nieść. Nagrodzę ci. Mam złoto! Całe mnóstwo.

— Pocóż je włóczysz ze sobą. Ciśnij — będzie ci lekko. Co ci po złocie na tej drodze.

— Bez rozumu mówisz! — oburzył się Maciek.

— To dźwigaj! Byś brzemię dźwigał — pomógłbym ci, ale skarb swój, sam nieś!

Minął go tak idąc lekko, że ledwie ziemi tykał, wnet z oczu zniknął.

Maciek zgarbiony, znużony wlókł się, głowę zwiesiwszy. Gdy czasem oczy podniósł, widział wciąż przed sobą pusty, szary, senny

kraj i szarą, nudną drogę. Ogarniała go coraz większa smętność i obojętność, coraz większe zmęczenie. I oto ujrzał przed sobą dom szary przy drodze i ucieszył się, że tam znajdzie posiłek, napój i gościnę. Już wcale wędrować nie miał siły i zmrok ogarniał świat cały. Ledwie doczołgał się do progu.

Na progu siedziała niewiasta — gospodyni — i każdy, kto wejść chciał, z nią rozprawiał. Gdy na Maćka kolej przyszła, podał jej garść złota i rzekł zgóry:

— Pańską chcę mieć gościnę i nocleg.

Spojrzała nań i zrobiło mu się straszno, od oczu jej zimnych, nieubłaganych.

— Sakwy rzuć — rzekła.

— Za żebraka mnie masz! Toć złoto jest.

— Sakwy rzuć! — powtórzyła.

— Przenigdy. Zbierałem, by mieć.

— To nieś!

— Chcę spocząć! Noc. Przyjmij! — rzekł już pokorniej, czując, że i kroku dalej uczynić nie może.

Nie odpowiedziała. Mrok gęstniał, chłód ogarniał Maćka, groza nocy, ciemności, pustki, trwoga, bezsilność, rozpacz, osamotnienie.

— Gospodyni, zlituj się — puść w dom swój — spocząć muszę! — zajęczał.

— Sakwy rzuć! — nieubłaganie odrzekła.

— Nie mogę! To wszystko moje! Przeklęta bądź!

Odwróciła nań oczy. Maćkowi zjeżyły się włosy, pot okrył skronie, zimno tych oczu poszło aż po duszę.

— Ratujcie! Ona mnie zabije. Nie dam złota. Ach, pocom je dźwigał!

Ogarnął rękami sakwy, przypadł do nich piersiami i z chrapliwym jękiem przerażenia poczuł, że się gdzieś stacza, pada, że niema pod nim gruntu, wokoło tchu — przed nim żadnej drogi — tylko czarna otchłań bezdenna, bez kresu, bez światła — wielkie nic istnienia.

KONIEC.

SPIS RZECZY.

	Strona
Rupiecie	1
Triumfator	41
Kamienie	67
Tutejszy	91
Tak zwani „Głupi“	101
Ciotka	133
Lamus	147
Jan Borucki	169
Bajka o głupim Marcinie	193
Hryc	209
Bagno	221
„Wołowy czerep“	241
Dobra służba	249

WYDAWNICTWO POLSKIE R. WEGNERA
POZNAŃ

PISMA
MARJI RODZIEWICZÓWNY

WYDANIE JUBILEUSZOWE ZBIOROWE

Z przedmową

ZDZISŁAWA DĘBICKIEGO

Tom 1.

DEWAJTIS

Powieść — Wydanie dziewiąte

Tom 2.

BŁĘKITNI

Powieść — Wydanie szóste

Tom 3.

JERYCHONKA

Powieść — Wydanie piąte

Tom 4.

CZAHARY

Powieść — Wydanie szóste

Tom 5.

WRZOS

Powieść — Wydanie piąte

Tom 6.

JOAN VIII

Powieść — Wydanie czwarte

Tom 7.

SZARY PROCH

Powieść — Wydanie szóste

Tom 8.

ONA

Powieść — Wydanie czwarte

WYDAWNICTWO POLSKIE R. WEGNERA
POZNAŃ

Tom 9.
CZARNY CHLEB
Powieść — Wydanie trzecie

Tom 10.
MAGNAT
Powieść

Tom 11.
JASKÓŁCZYM SZLAKIEM
Powieść — Wydanie piąte

Tom 12.
BARCIKOWSCY
Powieść — Wydanie czwarte

Tom 13.
MACIERZ
Powieść — Wydanie czwarte

Tom 14.
STRASZNY DZIADUNIO
Powieść — Wydanie szóste

Tom 15.
CZARNY BÓG
Powieść — Wydanie trzecie

Tom 16.
ANIMA VILIS
Powieść — Wydanie piąte

Tom 17.
NA FALI
Powieść — Wydanie czwarte

Tom 18.
KĄDZIEL
Powieść — Wydanie piąte

Tom 19.
KWIAT LOTOSU
Powieść — Wydanie siódme

WYDAWNICTWO POLSKIE R. WEGNERA
POZNAŃ

Tom 20.

KLEJNOT
Powieść — Wydanie szóste

Tom 21.

BYLI I BĘDĄ
Powieść — Wydanie piąte

Tom 22.

Z GŁUSZY
Nowele — Wydanie czwarte

Tom 23.

BARBARA TRYŹNIANKA
Powieść — Wydanie czwarte

Tom 24.

ATMA
Powieść — Wydanie trzecie

Tom 25.

NIEOSWOJONE PTAKI
Powieść — Wydanie czwarte

Tom 26.

ŚWIATŁA
Nowele — Wydanie drugie

Tom 27.

MIĘDZY USTAMI I BRZEGIEM PUHARU
Powieść — Wydanie piąte

Tom 28.

NA WYŻYNACH
Powieść — Wydanie piąte

Tom 29.

POŻARY I ZGLISZCZA
Powieść — Wydanie trzecie

Tom 30.

RUPIECIE
Nowele — Wydanie trzecie

WYDAWNICTWO POLSKIE R. WEGNERA
POZNAŃ

W dalszym ciągu ukażą się:

HRYWDA
Powieść — Wydanie szóste

RAGNARÖK
Powieść — Wydanie czwarte

LATO LEŚNYCH LUDZI
Powieść — Wydanie ilustrowane

NIEDOBITOWSKI Z GRANICZNEGO BASTJONU
Nowele — Wydanie drugie

FLORJAN Z WIELKIEJ HŁUSZY
Powieść — Biblj. Autorów Polskich. Tom 2.

Antyku. Nauk
W-wa, 9. 12. 70

BN
BIBLIOTEKA NARODOWA
516130
T 30
Biblioteka Narodowa
Warszawa
30001007785502